MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 12 WARSZAWA 19 MARCA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

SZKOŁA I MŁODZIEŻ

JEŻELI te przykłady nieuctwa wśród młodzieży, wstępującej na wyższe uczelnie, o których mówił prof. Bartel w Senacie, są wyjątkowe, to sprawa nie ma większego znaczenia i wystarczyłoby ją wyczerpać, w formie dowcipnych anegdot w bufecie sejmowym, albo np. przy bigosie w Białowieży. Jeżeli jednak prof. Bartel opiera się na licznych obserwacjach, i jego przykłady charakteryzują całe pokolenie — to wtenczas... również nie przystoi profesorowi, i to w dodatku sympatyzującemu z reżymem, który taką młodzież wychował, natrząsać się z tej młodzieży i z niechęcią ją krytykować.

Sam problem atoli jest poważny i warto się nad nim zastanowić.

Ci, którzy od dłuższego czasu egzaminują maturzystów i mają bliską styczność ze studentami szkół akademickich, stwierdzają istotnie pewne obniżenie poziomu umysłowego kilku przedostatnich roczników. Dotyczy to zwłaszcza strony humanistycznej wykształcenia, oraz t. zw. ogólnej wiedzy, inteligencji i nauki o Polsce. W przedmiotach matematyczno-fizycznych i w ćwiczeniach technicznych kryzys jest mniejszy. Stosunkowo najgorszy narybek mamy w tych dziedzinach studiów, gdzie trzeba myśleć bezinteresownie, gdzie trzeba mieć wszechstronną wiedzę, gdzie człowiekowi nie przyświecają widoki kariery materialnej i gdzie należy rozwinąć zdolności twórcze. Seminaria doktoranckie są nieliczne; ogólny poziom ich członków jest niższy, niż przed 3—4 laty; wybitnych talentów brak. Nieurodzaj dotyka głównie polonistykę, klasykę, historię i filozofię ścisłą. Podobnie jest w dziedzinie pracy literackiej i publicystycznej wszelkich rodzajów.

Jakie są przyczyny tego zjawiska? Zacznijmy, dla zorientowania się w skali możliwości przyrodzonych materiału ludzkiego, które będą granicami naszych wymagań, od przyczyn żywiołowych, których dziś już wola ludzka nie jest w stanie usunąć.

Od początku wielkiej wojny, t. j. od r. 1914 do dziś upływa 25 lat. Do okresu wojennego w Polsce musimy nietylko doliczyć lata 1918 — 1920, ale także czas powojennego kryzysu w ciągu paru następnych lat. Mamy więc około osiem roczników wojennych; dzieciństwo i wczesna młodość tych ludzi upłynęły w czasach niespokojnych, w biedzie materialnej, wśród kataklizmów i wstrząśnień. Ich matki i ojcowie przeżyli te same tarapaty; wycieńczeni fizycznie, wyczerpani nerwowo, nie mogli dzieciom dać ani takiego zdrowia, ani takiego wychowania, jakie by zapewne dali w czasach spokoju i dobrobytu.

Roczniki wcześniejsze o kilkanaście lat, t. j. ludzie, którzy w okres wojny weszli już bądź co bądź z podstawowym, młodzieńczym kapitałem zdrowia, fizycznie wytrzymali zawieruchę lepiej, niż ich młodsi bracia, ale, o ile byli lepiej uzdolnieni, o tyle uczyć się już nie mogli, albo nie chcieli. Wyżywali się w konspiracjach, bili się na wojnie (mówimy głównie o najaktywniejszym wtenczas społecznie inteligenckim środowisku); a wojna ma to do siebie, że rozwija heroizm żołnierski, ale też demoralizuje ogół społeczeństwa.

Ludzie urodzeni w latach 1914 — 1920 pod

względem moralnym w całej swej masie stoją wyżej. Ale to są te roczniki wojenne, które w tak dużym procenie nie nadają się do służby wojskowej i które wykazują dziś pewne obniżenie poziomu studiów akademickich. Obniżenie — w zestawieniu z najlepszymi w Polsce niepodległej rocznikami młodzieży, urodzonej w latach 1904 — 1910, a studiującej od r. 1924 do r. 1933. W tym mniej więcej roku rozpoczyna się okres, kiedy roczniki wojenne kończą szkoły średnie i wstępują na wyższe uczelnie. Mamy wrażenie, że już w bieżącym roku akademickim pokazują się pierwsze jaskółki nowego, lepszego okresu. Oto dorastają roczniki powojenne. Należy się spodziewać znowu poprawy w materiale ludzkim — tak w podchorążówkach, jak i na wyższych uczelniach.

Do następstw biologiczno-społecznych klęski żywiołowej, jaką była wojna, dołączyła się reforma szkół średnich. Okres wprowadzania w życie tej reformy musiał wywołać zamieszanie i osłabienie pracy pedagogicznej, co nie omieszkało się odbić na wykształceniu tysięcy maturzystów. Szkoła nowego typu, która obecnie już w całości weszła w życie, przygotowywać będzie, jak można przewidywać, gorzej do wyższych studiów, niż dawne gimnazjum 8-klasowe.

Wszakże nie mniej ważną przyczyną pewnego osłabienia umysłowego kandydatów do szkół wyższych jest program i system dydaktyczny historii i polskiego — oraz ideologia i metoda wychowawcza. Jakkolwiek osłabło nasilenie jędrzejewszczyzny, operującej Skwarczyńskim, Strażą Przednią i „Kuźnią Młodych", to jednak nie zostały w istocie zmienione i działają dalej w szkołach zasady kultury wschodu. „Uwspółcześnienie" nauczania jest przeprowadzane kosztem pogłębienia i rozszerzenia przedmiotu; „aktualizacja" i „pozytywno-konkretne" ujęcie wychowania realizuje się kosztem zasad moralnych, poważnych wiadomości i inteligencji twórczej. Uczeń mało zdobywa porządnej wiedzy i nie umie samodzielnie myśleć. Odcięto go od kultury klasycznej, która będąc podstawą kultury polskiej, może stać się poważnym źródłem cnoty i mądrości młodzieńca. Kształci go się na gazetach obozu rządzącego, na akademiach, pochodach, manifestacjach. Ludzie dorośli z trudem tylko mogą się jako tako zorientować w olbrzymiej masie faktów, o jakich mówi radio i prasa i zorganizować sobie w głowie ten zewnętrzny, pozorny chaos według logicznego i życiowego ładu. W szkole średniej trzeba zakres wiedzy zmniejszyć, natomiast zwiększyć jej treść. Chcąc wykształcić rozum i silny charakter, trzeba całość przedmiotów i zagadnień konkretnych, w skład każdego przedmiotu wchodzących, uszeregować wedle porządku moralnego. Ponieważ bez porządku moralnego niema rozumu. Wszystkie fakty i zasady, jakie chcemy zaszczepić mózgom wychowanków, wszystkie cechy charakteru, jakie chcemy wydobyć z ich dusz, muszą być w świadomości i woli nauczyciela jasno uporządkowane pod względem wartości.

Tendencje obecnego systemu prowadzą do tego, że uczeń nie wie np. co jest ważniejsze: wizyta ministra Gafencu, wojna hiszpańska, konkurs budowy modeli okrętowych, zawody F. I. S., budowa kanału Dniestr — Wisła, piosenka okolicznościowa, życiorys pana wojewody, olimpiada szachowa czy utrata niepodległości Czech...

Rozpasana heureza święci istne orgie. Uczeń ma sam zbudować sobie system gramatyki, wyprowadzać prawa, formułować zasady, wykrywać zjawiska. Musi być przytem wciąż zaciekawiony i rozbawiony, ażeby nie czuł wysiłku pracy. Wszystkie te tendencje są dobre, ale stosowane wyłącznie i przesadnie dają złe rezultaty. Absolwent nie ma systematycznej wiedzy, nie potrafi samodzielnie myśleć, nie umie stosować zasad do materiału konkretnego, nie ma wyrobionej pamięci, ani zdolności do dużego wysiłku. Historia zaś w szkole nie jest ani źródłem wiedzy o Polsce, ani mistrzynią życia; jest narzędziem wychowania „obywatelsko-państwowego" w duchu obowiązującej konstytucji i aktualnej akademii.

Niemniej ważnym czynnikiem w szkole jest nauczyciel, jego byt materialny i jego postawa moralna. Trzeba by zmniejszyć jego zajęcia, dać mu mniejszą klasę, a większą pensję. To wszakże jest zagadnieniem głównie budżetowym. Tymczasem postawa moralna nauczyciela jest do przeprowadzenia we wszelkich warunkach materialnych. Ale pod jednym warunkiem: żeby misja nauczyciela miała zaplecze moralne w państwie, pełniącym misję narodową, żeby ludzie rządzący państwem mieli tę samą wiarę w naród, ten sam bezinteresowny heroiczny stosunek do swych zadań. Potrzeba jednolitej ideologji rządzącej — narodowej i bohaterskiej. Jedno wynika z elementarnych obowiązków społecznych i z epoki politycznej w świecie. Drugie, t. j. postulat heroizmu — wynika z religii katolickiej i z potrzeb polskich; musimy w bardzo trudnych warunkach zająć potężną pozycję w Europie; nauczyciel powinien wiele poświęcić i wiele z siebie wydobyć, aby wzmóc potencjał twórczy i bojowy swego narodu. *Morale* nauczyciela niszczą nietylko ogólne stosunki, ale także działanie Związku Nauczycielstwa Polskiego, szerzącego poglądy materialistyczne, walkę klas, pesymizm i obojętność religijną.

To są główne źródła pewnego, mamy nadzieję, iż przejściowego, obniżenia inteligecji maturzystów kilku ostatnich roczników.

TADEUSZ DWORAK

Z NACJONALISTYCZNEGO PUNKTU WIDZENIA

SĄ ZAGADNIENIA, wydarzenia i postacie co do których w obozie nacjonalistycznym, t. zn. bezkompromisowo narodowym, nie może być dwóch różnych zdań. Takiem zagadnieniem jest np. stosunek do sprawy „powrotu średniowiecza", do takiego wydarzenia jakiem była Wielka Rewolucja, zwana francuską, do takiej postaci jak Napoleon. Ostatnie dwieście lat dostarczyło bardzo dużo trującej lektury; z początku miała ona charakter abstrakcyjny, ale od czasu katastrofy wielkorewolucyjnej operuje ona już faktami, popierającemi jej tendencje, i powołuje się na postacie historyczne, które realizowały przedtem czysto oderwane projekty.

Wielka ilość mętnych pojęć związanych z metafizycznym i mechanicznym światopoglądem wielkorewolucyjnym wpływa na wykolejenie odrodzeniowego, nacjonalistycznego prądu naszego stulecia. Do tych pojęć należy idealizowanie średniowiecza, propaganda „powrotu do średniowiecza" i głoszenie, że nadchodzi teraz „nowe średniowiecze". Tak się oddaliliśmy od średniowiecznych czasów, że teraz można sobie pozwalać na ogólnikowe „charakterystyki" tych czasów odpowiadające wyobraźni a nie rzeczywistości. Nacjonalista może stwierdzać z zupełnym zadowoleniem wyjście ze średniowiecza. Ani teokratycznego ani imperialistycznego kosmopolisu i internacjonału średniowiecznego nie można było zachować już od XIV-go wieku począwszy. Elementy tworzące związek cywilizacyjny zostały zachowane przez powstałe dzięki wyjściu ze średniowiecza państwa i narody aż do podboju świata przez „nową religię" w postaci ideologii wielkorewolucyjnej. Regionalizm, korporacjonizm i państwotwórcze dynastje średniowieczne utrzymały się do chwili wcześniejszego w jednych a późniejszego w innych krajach zwycięstwa ideologii wielkorewolucyjnej. Wybitny pisarz katolicki R. de Briey w świeżo wydanem dziele „*La concepion catholique de l'Etat*" potępia wszystko co było po średniowieczu, renesans, wiek XVII i XVIII ale najlepszym dowodem niesłuszności tego potępienia jest stwierdzanie przez tegoż autora, że „dopiero" od 150 lat toczy się bezkompromisowa walka między Bogiem i „człowiekiem", że „dopiero" Wielka rewolucja jest otwarciem nowej ery przez zastosowanie racjonalizmu w dziedzinie cywilnej, politycznej i społecznej; wreszcie de Briey szkicuje ustrój państwa katolickiego i okazuje się, że taki ustrój winien być przystosowanym do naszego wieku *Ancien Régime*'m francuskich Ludwików.

Średniowiecze musiało się skończyć dzięki dążeniu do piękniejszego i szerszego życia, dzięki powstaniu narodów i państw będącemu rezultatem polityki dynastycznej, dzięki, wreszcie wzbogaceniu cywilizacji przez elementy grecko-rzymskie nietylko te, które potrzebne były scholastyce, ale te, które dotyczyły całej osobowości ludzkiej. Kryzys związany z tą przemianą został pokonany dzięki soborowi trydenckiemu i monarchom oraz wielkim ministrom Francji i Hiszpanii. W XVII wieku doszło do wspaniałej równowagi, która znalazła swój wyraz za panowania Króla-Słońca; w XVIII wieku cywilizacja jeszcze wysubtelniła się, ale intelektualizm zaczęła wykrzywiać masoneria, której dziełem jest katastrofa wielkorewolucyjna i wszystkie jej konsekwencje na obu półkulach.

Do czasów W. rewolucji zwanej, jak mówi Maurras, tylko przez antynomię — „francuską", istniała jedność cywilizacyjna oparta na grecko-rzymskim i chrześcijańskim fundamencie. Bez podbojów orężnych zdobyła Europę wspaniała cywilizacja monarchii Bourbonów i wtedy to powstało pojęcie „*l'Europe française*", które nie przekreślało osobowości narodowych i państwowych. Monarchowie i wielcy ministrowie katolickich monarchii zachodnich prowadzili politykę będącą mądrą syntezą ideowości i liczenia się z t. zw. geopolitycznemi ramami działalności ludzkiej. Taką politykę prowadził Filip II (zob. prof. Altamira — *Philippe II* w „*Les hommes d'Etat*", *vol. II, éd. Desclée de Brouwer*) i Richelieu (zob. *Saint-Aulaire — Richelieu*), Ludwik XIV oraz Ludwik XV i jego ministrowie.

Oskarżana jest o ciasny egoistyczno-państwowy punkt widzenia polityka kardynała de Richelieu; oskarżenie to jest całkiem niesłuszne. Polemizując z bardzo powierzchownym Belloc'iem wskazuje Saint-Aulaire w świetnej biografii wielkiego kardynała liczenie się Richelieu'go z prawami nabytymi, ostrożność w rozszerzaniu terytorium państwowego i kierowanie się w polityce zagranicznej tą myślą, że pokój, który jest wielkim dobrem, musi się opierać na zasadzie tolerancji wzajemnej swego bytu i na równowadze państw reprezentujących określone osobowości zbiorowe. Richelieu wystąpił w czasie wojny trzydziestoletniej przeciw Habsburgom, gdyż reprezentowali oni jeszcze wtedy Reich niemiecki i posługiwali się katolicyzmem w celach centralistycznych. Wspaniała, utrzymana w linii tradycyjnej, polityka Ludwika XIV doprowadziła do zanulowania odwiecznego stanu wojennego na granicy pirenejskiej i pozwoliła Ludwikowi XV na *renversement des alliances*, gdy się okazało, że już Hohenzollernowie a nie Habsburgowie reprezentują Niemcy. To *renversement des alliances* nastąpiło nie zapóźno, lecz wtedy, gdy nie udała się próba zastąpienia podejrzanych zawsze Habsburgów Wittelsbachami. Po *renversement des alliances* drugą zasługą monarchii Ludwika XV na terenie międzynarodowym był *Pacte de famille* uwydatniający jedność Europy łacińskiej przez przymierze trzech wielkich państw, w których trony zajmowali potomkowie Króla-Słońca.

Kategoryczne musi być stanowisko nacjonalistów wobec takiego wydarzenia jakiem była W. rewolucja i wobec takiej postaci jak Napoleon — kategoryczna i negatywna.

Przewrót wielkorewolucyjny zaczął urzeczywistniać ideologię materialistyczną, antytradycyjną i mechaniczną; znikła zasada supremacji autorytetu moralnego, jednostki wykruszone z ram organicznych rodziny, zawodu i terytorium zostały jak zniwelowane, oderwane od siebie atomy postawione w bezpośrednim stosunku do Molocha państwowego. Rewolucja, jak słusznie stwierdził Clemenceau, jest jednym blokiem; rok

1789 dokonał tego co stało się fundamentem rządów Robespierre'a a potem cesarstwa napoleońskiego; dekoracyjna monarchia, która istniała od 14 Lipca 1789 r. do 10 Sierpnia 1792 r., republika Dantona i żyrondystów, republika Robespierre'a, okres thermidoriański, Dyrektoriat, konsulat i cesarstwo to były różne fazy tego samego zjawiska. Słuszność ma myśliciel i polityk hiszpański z pierwszej połowy XIX-go stulecia, Donoso Cortès, konstatując: „Cesarstwo nie było zwycięstwem nad rewolucją, lecz ukoronowaniem rewolucji"; słuszność ma także Trocki, który już przed wojną twierdził, że ma kult dla Napoleona jako tego, który ocalił i kontynuował rewolucję. Trzeba także przyznać słuszność samemu Napoleonowi, który przechadzając się za czasów konsulatu koło grobu J. J. Rousseau wyraził przypuszczenie, że „lepiej by było dla pokoju świata, gdybyśmy Rousseau i ja nigdy nie istnieli".

W. rewolucja była atakiem przeciw wszystkim pierwiastkom osobowości narodowych; było godną podziwu perfidią nadużycie słowa „narodowy" w czasie tej katastrofy niszczącej narody i państwa, dążącej do skonstruowania powszechnej republiki ludzkości, tego masońskiego ideału. Słowu „naród" dano zresztą wtedy znaczenie demokratyczne — ogółu wyborców, a, co najwyżej, ogółu żyjących pokoleń; sfałszowano także pojęcie przedstawicielstwa narodowego, które w myśl błędnego rozumienia „narodu", postanowiono tworzyć tylko przez głosowania.

LESZEK GEMBARZEWSKI

(Dok. nast.)

Z BIEGIEM LAT

(WSPOMNIENIA O ROMANIE DMOWSKIM)

V

O SĄDY ludzkie Dmowski dbał bardzo mało. Oczywiście nie przez fanfaronadę, zawsze zadowolonego z siebie, lecz dlatego, iż znał tych sądów jednostronność i sprzeczność, zmienność i znikomość, a gdy chodziło o opinie przeciwników — wiedział z jakich pobudek powstają i co zamierzają osiągnąć. Podobnież niewiele przywiązywał wagi do hołdów i zaszczytów, jakie go spotykały i na niego spadały, a „honorów świecąca bańka wewnątrz pusta" — nigdy go nie nęciła.

Będąc przez kilka tygodni ministrem spraw zagranicznych, został odznaczony przez rządy paru państw wielkiemi wstęgami rozmaitych orderów, ale nawet najbliżsi niewiele o tem wiedzieli. Jeden tylko zaszczyt, o ile wiem, cenił sobie wysoko i rad był, że go nie ominął. Był nim doktorat honorowy Uniwersytetu Poznańskiego. W tym wypadku wszakże był przekonany, iż nie jest to akt zdawkowej kurtuazji, lecz wyraz szczerego uznania dla jego istotnych zasług względem Polski.

Co zaś się tyczy w ogóle uznania dla jego osoby oraz działalności, to właściwie chodziło mu zawsze raczej o to, żeby inni mieli prawdziwe zrozumienie celów do jakich dążył, i sposobów działania, jakiemi zamierzał je osiągać. (Do mnie pisał, jak to wspominałem, że nie dba o komplementy, lecz o to, by go dobrze rozumiano). Na tym punkcie był wrażliwy, a brak takiego zrozumienia, zwłaszcza wśród najbliższych, nie raz go zasmucał i żywo poruszał, dając czasami powód do ostrych wystąpień.

Na tle wynikających stąd niekiedy nieporozumień, dawaliśmy mu uczuć, iż niepotrzebnie zraża do siebie ludzi. Pamiętam jak kiedyś, na jakimś liczniejszym zjeździe delegatów Stronnictwa, ktoś przy sposobności o to potrącił. Wówczas usłyszeliśmy odpowiedź: „Powiadacie, że zraziłem sporo ludzi, zapominacie jednak, iż pozyskałem ich nierównie więcej..." Był to argument, który zamknął wszystkim usta.

Zresztą zrażał do siebie nieraz ludzi jakąś błahostką — dowcipem, żartem, których ofiary czuły się śmiertelnie dotknięte, nie zdając sobie sprawy, że Dmowski zwracał się najchętniej z żartami przede wszystkiem do osób, które lubił i był do nich prawdziwie przywiązany.

To prawda, iż miewał także rozmaite idjosynkrazje, któremi w stosunkach z ludźmi się kierował. Idjosynkrazje owe, jak to obserwowałem, prędko jednak przemijały, a nieuzasadniona niechęć do kogoś często przechodziła w najżyczliwsze uczucia. Tego rodzaju właściwości jego natury zawsze mnie bardzo zastanawiały, obserwując je przeto przez długie lata naszych stosunków, doszedłem do przekonania: że — jeśli w jego zwrotach niechętnych do ludzi nie tkwiła jakaś poważna przyczyna — to wszystkie one niczem innem były jak tylko jakąś niewinną grą jego rozbawionej wyobraźni, w czem złych intencyj trudno było się dopatrzeć.

Powyższe rozważania prowadzą mnie do zastanowienia się w ogóle nad osobliwą naturą Dmowskiego. Nie tylko jako znakomity polityk, świetny pisarz, wielki wychowawca młodych pokoleń i t. d., był on zjawiskiem nadzwyczajnem, lecz naprzód sam przez się, jako szczególniejsza jednostka w masie innych, jako dana indywidualność. Różnolitością swoich uzdolnień, rozmaitością zainteresowań i ciekawości, ogromem wiedzy, samodzielnością charakteru oraz siłą i niezależnością myśli, przypominał Dmowski tego rodzaju jednostki ludzkie, w jakie obfitowała np. epoka włoskiego Odrodzenia, które nazywano: „*l'uomo singolare*", „*l'uomo unico*" i t. p., a więc „człowiek osobliwy", „jedyny". Podobieństw pomiędzy nimi i Dmowskim nie brak. Było tam wśród nich sporo humanistów — Dmowski był także humanistą, i nietylko dla tego, że był miłośnikiem i znawcą helleńsko - łacińskiej kultury, lecz i dla tego, iż miał żądzę poznania świata i ludzi i nieustannie myśl swoją tem zaprzątał.

Rysem charakterystycznym dla powyższej kategorii ludzi z owej epoki było, że mając niezwykle mocne poczucie wyjątkowości własnej, swoich intelektualnych i duchowych wartości oraz możliwości, żywili przeświadczenie, iż przyrodzonem ich prawem i obowiązkiem jest — istnieć przede wszystkiem dla samych siebie. To znaczy:

rozwinąć, doprowadzić do najwyższej potęgi oraz ujawnić w czynach i dziełach całą treść ich istoty, ich geniuszu. Na pierwszem miejscu stała dla nich własna szczególniejsza, jedyna osobowość; jej dogodzić, wartością jej wyróżnić się wśród innych, jej siłę narzucić światu, a w nim pozyskać dla niej nieśmiertelną sławę — oto, co było najważniejszą sprawą ich życia. Tego rodzaju jednostki „osobliwe" były celem dla samych siebie, a świat był dla nich narzędiem do tego.

I tu właśnie zachodzi zasadnicza różnica pomiędzy Dmowskim i „człowiekiem osobliwym" owych czasów. Aczkolwiek wszechstronnością rozwoju duchowego, rozmaitością oraz siłą swych uzdolnień, należy on do tego typu jednostek ludzkich, głęboko wszakże różni się od nich pod tym względem, iż nie istniał dla siebie samego, nie był sobie samemu celem, a świata nie uznawał za narzędzie do jego urzeczywistnienia. Przeciwnie: wszystko, co własnym wysiłkiem osiągnął dla siebie, całe bogactwo swego intelektu, wszystką energię swego ducha, słowem najprzedniejszą treść swojej osobowości przekuł na narzędzie, mające służyć istocie wyższej od istnienia jednostkowego, w tym wypadku: ojczyźnie własnej— Polsce. W liście do Wł. Reymonta, pisanym w 1898 roku z Londynu (znajduje się w zbiorach Rapperswilskich), szukając powinowactw duchowych pomiędzy nim i sobą, wyraził się Dmowski między innemi, że obydwaj należą do tego gatunku ludzi „którym jest za ciasno na świecie..."

Jednostki, czujące iż jest im ciasno w tym świecie, w jakim los zmusza je przebywać, poszukują najczęściej dla siebie miejsca w jakimś świecie szerszym, w którym mają nadzieję istnieć pełniej i czuć się lepiej. A gdy przytem, tego rodzaju jednostki, są naturami bogatemi w treść niepowszednią, i mają silną wolę i tęgi umysł, to — jeżeli w jakiemś awanturniczem przedsięwzięciu nie skręcą karku odrazu — na szerszym świecie, prędzej czy później, potrafią wybić się na wierzch życia, osiągają cel swój, zdobywają uznanie, zaszczyty, etc... Tego rodzaju jednostek nie brak było i naszemu społeczeństwu. Nie cofając się zbytnio w naszą przeszłość, dość tu wymienić wśród wielu innych: Czajkowskiego (Sadyk-Pasza), Chojeckiego (Charles Edmond), Z. Kaczkowskiego, Tadeusza Oksza-Orzechowskiego, Kościelskiego (Sefer-Pasza), Conrada-Korzeniowskiego i t. d.

Wszyscy oni wyróżnili się i odznaczyli na szerokim świecie, gdy wyszli z własnego, „ciasnego" — w rozmaitych kierunkach działalności ludzkiej. Odznaczyli się przedewszystkiem dla samych siebie, dla własnego pożytku.

Dmowski niemniej, a pod niejednym względem więcej uzdolniony od wspomnianych wyżej jednostek, którym ciasno było w naszym świecie, czując jego ciasnotę, poszukiwał świata szerszego inaczej i gdzieindziej niż one, i odnalazł go w tej wizji przyszłej Polski, jaką w duszy własnej wypiastował, i nosił ją w jej głębi przez całe życie. W świecie tej Polski osiadł na stałe, tu znalazł cel swego istnienia, do jego wymagań nagiął całe życie swoje, oddając mu bez zastrzeżeń najlepsze siły własne, bez myśli takiego lub innego odszkodowania za ich całkowite zużycie.

Pod tym względem był on takim swoistym „człowiekiem osobliwym", rzadkim — jakich ten gatunek ludzki nie często podobnych wydawał. Z dawniejszych — ponieważ tu chodzi o polityka, był takim Kamil Cavour, dzisiaj podobnym jest Ch. Maurras we Francji, a Salazar w Portugalii.

Dmowski jest im pokrewny nie tylko wielkim talentem politycznym, lecz nadto przedewszystkiem charakterem swoim, mianowicie stałością w dążeniu do celu, duchem ciągłości oraz wolą długoterminową — że się tak wyrażę — wspartą o mocny system umysłowy.

I stąd to, z takiej jego indywidualności wyjątkowej, rodzą się jego czyny, zarówno w dziedzinie myślenia politycznego, mającego sprawy Polski na widoku, jak i te, których w praktyce politycznej dla niej dokonał, w momencie decydującym o jej bycie. Dzieło jego, aczkolwiek urzeczywistnione nie w pełni przez niego pomyślanej— odpowiada wielkości jego postaci. W jej złożonym składzie duchowym zaznacza się wybitnie pierwiastek moralny.

Ogół ludzi w swej pracy publicznej, nawet gdy jest jej oddany sumiennie, z poczucia obowiązku, pełni swą służbę jeszcze z rozmaich względów czysto osobistych, jak: nadzieja awansu, rozmaite potrzeby życiowe, wreszcie z obawy odpowiedzialności za czyny swoje przed instytucjami powołanemi do ich oceny.

Roman Dmowski, pełniąc swoją wielką służbę narodową z wyższego nakazu swej duszy, wolny był w swojem działaniu od tego rodzaju osobistych względów, co zaś do odpowiedziaińości to odczuwał ją tylko przed trybunałem własnego sumienia.

Na niem oparty, mocny poczuciem spełnionego obowiązku, mógł z pogodnych wyżyn własnego ducha spoglądać na sprawowane nad nim sądy współczesności.

Miał prawo być pewnym siebie oraz znaczenia tego, co dla swego narodu osiągnął. Pewny mógł być, że celu życia swego nie chybił i z przeznaczeniem jego się nie rozminął; że miało ono swój sens głęboki i posłużyło innym do uświadomienia im kierunku oraz celu ich własnego istnienia.

Gdy odszedł, dały temu najwymowniejsze świadectwo niezliczone rzesze, co go odprowadzały na wieczny spoczynek; te mnogie serca, co czuły wówczas, i wciąż czuć nie przestają, że z nim zeszła do grobu cząstka świadomości i cząstka sumienia każdego z nich.

Nagrody żadnej nie pożądał, bo dla niego było nią to, co wyraził w ten sposób: „Bóg mi dał to szczęście, że widzę inną Polskę, że umrę w innej, niż ta zdeptana, zhańbiona i uciskana, ze strachem w przyszłość patrząca, w której się urodziłem".

Jeśli jednak mowa o nagrodzie jako wdzięczności ludzkiej, to było nią to bezprzykładne „pospolite ruszenie" serc z całej Polski, przez zgon jego wywołane.

Na trumnę Roman Dmowskiego, jak najpiękniejsze kwiaty, spadały wspaniałe tytuły i pochwały; wszystkie słuszne i zasłużone. To prawda, ale jest On tej miary postacią, jakiej wyjątkowość wyrazić mogą najlepiej słowa, wyryte na grobowcu wielkiego polityka - myśliciela Rzplitej Florenckiej, w kościele Santa Croce:

„*Tanto Nomini nullum par elogium*".

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NESSUN MAGGIOR DOLORE...

BUTYRKI, Łubianka i podobne im więzienia moskiewskiej G.P.U. niczym są wobec katorgi na Wyspach Sołowieckich. Wiemy o tym zbyt mało, gdyż bramy więzień Z.S.R.R. strzeżone są tak czujnie, że do nielicznych wyjątków należą ci szczęśliwcy, którym udało się uciec, zmyliwszy argusową czujność krasnoarmiejców. Co się tyczy Sołówek, weszło już w Rosji w przysłowie, że „pewniejszą jest śmierć od ucieczki z Usłonu". To też, dowiedziawszy się, że na krótko przed Nowym Rokiem powrócił po trzymiesięcznej tułaczce jeden z polskich zesłańców sołowieckich, były urzędnik jednego z banków kijowskich, Jan N...[1]) udałem się umyślnie do Łodzi, aby go odwiedzić i zdobyć garść bezpośrednich informacyj o jedenastu latach katorgi, spędzanych przez niego nad Morzem Białym. Pomimo wycieńczenia i straszliwego zmęczenia podróżą odbywaną przeważnie pieszo przez Finlandię i kraje nadbałtyckie, mój rozmówca ochoczo dzieli się ze mną swojemi tragicznemi przeżyciami, wobec których bledną nawet strofy dantejskiego „Piekła".

*

Sowiety posiadają w chwili obecnej pięć głównych ośrodków więziennych, przeznaczonych dla zesłańców politycznych. Są to „obozy": a) uralskie, b) syberyjskie, c) azjatyckie, d) Dalekiego Wschodu, wreszcie e) Sołowieckie, w których przebywał od roku 1927 mój rozmówca. Ośrodki powyższe tworzone były kolejno w miarę potrzeby, zwłaszcza w okresie likwidowania przez ZSRR. kolektywów, w latach 1928—31. Sam obóz sołowiecki liczył w ostatnim dziesięcioleciu ponad $1^1/_2$ miliona zesłańców. Jest to najstraszliwsza katorga w czerwonej Rosji, przewyższająca swojem okrucieństwem dawny carski Sybir.

Sołówki, czyli archipelag wysp sołowieckich tworzą teren najkompletniej izolowany od lądu. W ciągu 10 miesięcy panuje tam zima podbiegunowa, a nawet w okresie dwu miesięcy wiosennych (lato nie istnieje) temperatura nie przewyższa 10 stopni a nieustanna wilgoć unosi się w powietrzu, zawierając w sobie zarazki malarii i innych chorób. Dawniej Katorga Sołowiecka ograniczała się jedynie do zabudowań poklasztornych. W ostatnich latach rozrosła się ona niepomiernie, mogąc pomieścić do 800 tysięcy więźniów i otrzymała nazwę USŁON'u (skrót ten oznacza: „*uprawlenie sojedinionnych łagerej osobawo naznaczenja*". Centrum obozu tworzy tak zwane miasteczko (gorodok), w którym mieści się administracja. Tu przyjrzeć się można nowoczesnym torturom, jakim podlegają więźniowie, od których należy się czegoś dowiedzieć. Są to więc poklasztorne szafy biblioteczne, w których badani przebywać muszą w pozycji siedzącej nieraz po kilka tygodni, bądź też nawpół skulonej, pozbawieni światła i miękkiego posłania. Po karcerach następują więzienia zbiorowe, mieszczące się w kilkudziesięciu drewnianych, pełnych wilgoci i robactwa barakach. Wreszcie — ostatni stopień (kłass) męczarni, to wyspa Anżyr, gdzie umieszcza się tych więźniów, którzy nie mają już sił do pracy, chorych na nieuleczalną malarię lub choroby weneryczne.

Oto krótki schemat straszliwej katorgi, zwanej od czasów Iwana Groźnego — Sołówkami.

Pod względem narodowościowym najliczniej reprezentowani są Ukraińcy, kozacy dońscy i kubańscy, Polacy z kresów i dopiero w ilości stosunkowo niewielkiej, rdzenni Rosjanie. Poza śmiercionośnym działaniem klimatu, drugim współczynnikiem zniszczenia staje się praca zesłańców. Tu mój rozmówca pokazuje mi swoje odmrożone ręce, ślady ran niezagojonych na ramionach i barkach. Bo praca zesłańca to męka, przechodząca najdalej idące przewidywania. Posłuchajmy tylko, jakim jest dzień zesłańca sołowieckiego. O piątej zrana apel, w pięć minut po nim „śniadanie", składające się z miski niekraszonej kaszy albo z polewki ze zgniłej „wobły" (ryby), które spożywa się w pośpiechu, stojąc. W kwadrans po tem następuje wymarsz partiami do pobliskiego lasu na wyrąb. Partia, składająca się z trzech lub czterech ludzi zobowiązana jest do wyrąbania „normy" dziennej w ilości 20 — 30 drzew o wysokości kilkunastu metrów. Takiej normy nie byłoby w możliwości wykonać trzykrotnie większa partia robotników, pracująca w warunkach normalnych. Dodajmy, że skazańcy pracują przy trzaskającym mrozie, dochodzącym w miesiącach zimowych do 35°, że narzędzia pracy są przestarzałe i zużyte, a w odległości dziesięciu kroków stoją krasnoarmiejcy z karabinami maszynowymi, gotowymi do strzału. Wobec ogromu wyznaczonej „normy" partia pracuje do późnego wieczora, gdyż jej niewykonanie karane jest chłostą, pozbawieniem wieczerzy lub karcerem.

Na „obiad" wydaje się po 400 gramów chleba i porcję znanej już zupy ze zgniłej wobły. Za parokrotne nie wykonanie „normy" pracy stosuje się kary specjalne, jak wysłanie ofiary bez obuwia na mróz, nocleg w pozycji stojącej. Najmniejsze usiłowanie oporu, to kula w łeb na miejscu, bez rozprawy sądowej... To też codzienna praca zesłańców sołowieckich staje się dla nich najstraszliwszą męką, unosi się nad nią nieustanie widmo śmierci. Jeśli nawet komuś uda się uciec, mówi mi przez łzy p. N. to poto, aby móc złożyć zbolałe członki na ziemi ojczystej. Uciekało nas sporo, mówi; w ostatnich latach — około 4 tysięcy. Z tej jednak liczby zdołała dotrzeć do granic Finlandii zaledwie setka.

A teraz spróbujmy zanotować kilka obrazków, wziętych bezpośrednio z życia zesłańców sołowieckich. Malują nam one poziom etyczny oprawców sowieckich i stosowane przez nich „metody" więzienne.

Eszelon katorżników przybył właśnie z Moskwy do ostatniej stacji kolejowej. Rozlega się komenda konwojentów: „Biegiem, marsz!..." Zmarżnięte, nawpół żywe cienie ludzkie tłoczą się, skaczą w biegu z towarowych wagonów, obok siebie osiwiali duchowni prawosławni, kilka księży w podartych i zrudziałych sutannach, niedobitki inteligencji w jakichś resztkach ubrania, byli wojskowi, „*wozwraszczeńcy*", których udało się zwa-

[1]) Nazwiska z powodów łatwo zrozumiałych nie podajemy (Red.).

bić do powrotu z zagranicy, włościanie z mizernymi tobołkami, kryjącemi resztki dobytku. Niektórzy więźniowie są bez butów pomimo 10-stopniowego mrozu...

„Grupuj się w czwórki, hołoto" — pada znowu komenda. Kilkunastu opasłych, ciepło ubranych czekistów spogląda z pogardą na tysięczny tłum „byłych ludzi". Za chwilę zesłańcy pędzą już do najbliższego punktu etapowego, mieszczącego się w Kiemsku, o dwadzieścia kilometrów bocznej drogi. Starsi nie mogą wytrzymać tego marszu, padają zmarznięci na drodze. Dobija się ich kulą z rewolweru — dla pewności. Po kilku kilometrach marszu brakuje już kilkudziesięciu zesłańców. Mało kogo obchodzi, ilu z nich pozostanie na drodze — już na zawsze... W Kiemsku ładuje się „żywy inwentarz" do baraków, skąd po krótkim przeglądzie — ostatni etap drogi — skąd już nie ma powrotu — S o ł ó w k i.

Oto inny obrazek.

Po pamiętnym zamachu Kowerdy na posła sowieckiego w Warszawie, Wojkowa zaczęły się masowe aresztowania „moralnych współuczestników" tego czynu. Pod tym pretekstem aresztowano i wysyłano na Wyspy Sołowieckie setki Bogu ducha winnych obywateli Moskwy i Leningradu. Do USŁONU przybyło w tym czasie kilka tysięcy zesłańców zwanych „wojkowcami". Na zapytanie, kim są, padała odpowiedź stereotypowa: „Jestem wojkowiec". „A któż to był, ten Wojkow?„, pytają współtowarzysze z baraku. — „Nie mogę wiedzieć" — odpowiada więzień.

Mój rozmówca maluje mi nastrój panujący w barakach, gdzie mieszkają, jeśli to można nazwać mieszkaniem, tysiące nieszczęsnych więźniów sołowieckich. Te baraki sklecone są z cienkich desek sosnowych, nieogrzewane. Każdy z nich może pomieścić kilkuset ludzi, często jednak liczba ta się podwaja. Temperaturę nie przewyższającą 8 stopni wytwarza oddech ludzki. Umywalnie nie istnieją. Stosuje się natomiast sposób lania wody z ust na ręce. Dookoła panują ciemności i nieopisany zaduch. Zesłańcy sypiają bowiem w ubraniach, w których wracają z pracy dziennej, w większości wypadków są to raczej łachmany, niż ubiór ludzki. Strawy nie spożywa się nigdy na talerzu, lecz czerpie się ją wprost z polowego saganu, nakładając ją do jakiejś starej blaszanki, lub pudełka od konserw. Popularną „kaszę sołowiecką" jada się z reguły — rękami. Woda do picia ma zapach zgnilizny i kolor zielony. Mieszczą się w niej tysiące chorobotwórczych bakterii, nic dziwnego, że corocznie szkorbut i malaria dziesiątkują zesłańców.

Oto jeszcze jeden obrazek; tym razem z życia kobiet. — Więzienia dla kobiet mieszczą się na jednej z najdalszych wysp archipelagu. Więźniowie — mężczyźni nie mają prawa tam zaglądać. Jedynie czekiści bywają częstymi gośćmi w barakach kobiecych, wybierając wpośród nich służące i... przyjaciółki, które po pewnym czasie odstępują swoim kolegom. Powracają one po kilku miesiącach chore, zarażone chorobami wenerycznemi, niezdolne do pracy. Wyspa Anżyr, to Golgota. Opowiadają że baraki kobiece, tam rozmieszczone, to straszliwy szpital, bez pomocy lekarskiej (bo i poco?).

Lekarze więzienni (słynny ze swego okrucieństwa, Jachontow) udzielają pomocy jedynie więźniom - mężczyznom, o ile mogą się oni jeszcze na coś przydać. Są oni bezwzględni, posyłając do pracy ludzi chronicznie chorych, bagatelizując rupturę, reumatyzm i inne poważne niedomagania więźniów. Nie mają litości dla duchownych, którzy są w obozie nieustannym pośmiewiskiem. Do jednego z księży katolickich chorego na raka w gardle, odezwał się śmiejąc wspomniany „lekarz" sołowiecki; sam jesteś sobie winien, śpiewając przez całe życie „Alleluja"... Ale tęsknota do religii tkwi mocno w sercach zesłańców. Sam widziałem, mówi mi N., jak dwaj polscy więźniowie podawali sobie w mroku nocy pożółkły obrazek Ukrzyżowanego, zaszyty w rękawie zrudziałego od starości ubrania. Widziałem również, jak w noc wigilijną dzielono się w ukryciu kawałkiem... gazety sowieckiej, mającej zastąpić opłatek...

Stosunek krasnoarmiejców do Polaków był szczególnie nienawistny. Każda polska rozmowa ze współtowarzyszem niedoli, najdrobniejszy strzępek książki, lub gazety polskiej dawały asumpt do stosowania surowych kar, zwłaszcza karceru i chłosty.

Polacy, podobnie do duchowieństwa wszystkich wyznań, stawiani byli na Sołówkach poza nawiasem społeczeństwa więziennego.

Obóz sołowiecki otoczony jest gęstym zwojem drutu kolczastego, a każde przejście strzeżone jest w dzień i w nocy przez karabin maszynowy. Trzeba dokładnie znać puszczę Karelską, aby móc zaryzykować ucieczkę do granicy finlandzkiej. To też bardzo wielu więźniów powracało po kilku dniach bezskutecznego błądzenia z powrotem do obozu, zdając się na łaskę i niełaskę krasnoarmiejców, co gorsza, wydając pod terrorem nielicznych współtowarzyszów nieudanej ucieczki. Cudem tylko, kończy mój rozmówca, udało nam się przy pomocy miejscowego chłopa karelskiego odnaleźć drogę do Ojczyzny.

To, o czym piszę, jest jedynie d r o b n y m f r a g m e n t e m tragicznych dziejów zesłańców sołowieckich. Kilka godzin, spędzonych z N. odsłoniły mi straszliwy obraz, na opisanie którego nie pozwalają szczupłe ramy artykułu.

Głos „szakali" sołowieckich (tak nazywają ich dozorcy) winien znaleźć żywy oddźwięk w sercach tych wszystkich, u których uczucie miłości bliźniego i — poczucie godności ludzkiej nie wygasło.

W—b.

EWANGELIA ZWIERZĘCA

Droga moja, ty nie dziw się, że gwiazdy chwalę,
Rozumne, czyste drzewa, szlachetne zwierzęta,
Świty dumne jak hymny, jezior śpiewne fale,
A o ludziach tak często milczę. Nie pamiętam.

I śpiewam piękno ziemi — i chwalę z zachwytem
Dostojne, czyste gwiazdy, szlachetne zwierzęta!
Wojciech Bąk.

NIEWIELE jest dzisiaj książek czystych. Takich, któreby nie były ciekawe, kto, z kim, dlaczego, kiedy i jak romansował. I jakie były przytem odchylenia od normy, (im więcej, tym lepiej!). Takich, któreby chwaliły pracę, ważniejszą od nastroików i zachcianek, i życie — sprawę poważną i trudną, lecz nie pozbawioną zdrowych radości. Coraz tego mniej. Poeci w wierszach nie są poetami w życiu, i nie umieją oddychać pełną piersią. A możebyśmy się, czytelniku, wybrali do mroźnej Kanady, w odwiedziny do Grey Owl'a? Tam nie będzie ani urazów, ani kompleksów, tylko mroźna zima, tysiące kilometrów puszczy wolnej i dostojnej, i dym ogniska, głęboka czysta woda, i gorące, mocne ludzkie serce, bijące (już nie bije) prostą miłością dla wszelkiego stworzenia. Będziemy gościć u dziwnego człowieka.

Wieści o nim rozeszły się szeroko, nawet tworząc rodzaj legendy. Ludzie, którzy przyjeżdżali, aby go odwiedzić, spostrzegali np. domek bobrowy, którego połowa była pokryta gontem lub bobra z pędzlem w ręku, gotowi byli uwierzyć, że bobry osiągnęły niesamowity stopień rozwoju. Naprawdę rzecz się miała tak, że zbierały one wszelki budulec na swój domek, bynajmniej nie świadomie, że te przedmioty mają dla ludzi specjalne znaczenie. Ten pół-Szkot, pół-Indianin, dokonał ofiarą ze swej wolności, osiedliwszy się w Narodowym Parku w Kanadzie, dzieła wielkiej miłości dla zwierząt.

Grey Owl uratował bobrzy ludek przed zupełnem wytępieniem. Umiał zdobyć zaufanie dzikich zwierząt, współmieszkał z niemi, i jak w bajce, rozmawiał z niemi, poznał ich obyczaje, charaktery. Sam mówi, że nigdy nie usiłował tresować zwierząt, t. zn. uczyć ich rzeczy nienaturalnych dla nich. Zato odkrywał ich usposobienia, różne jak u ludzi, przedziwne instynkty inżynierskie, porządek; zbudził ich przywiązanie, zwyciężył nieufność. Szanował zawsze indywidualność każdego z nich i raczej ogromny szacunek i pokora wobec przyrody cechują tę piękną duszę. „Człowiek powinien wchodzić do lasu nie jako zaciekły łowiec lub zarozumiały zdobywca, lecz raczej jako nabożny pielgrzym, pełen zachwytu dla cudownej architektury pięknej, rozległej świątyni. Niejeden człowiek, któremu wydaje się, że jest panem całego otoczenia, powinien wchodząc do puszczy zdjąć nietylko kapelusz, ale nawet obuwie, a w niektórych wypadkach może się radować, jeżeli los pozwoli mu zachować do końca pobytu... postawę wyprostowaną". „Postawa wyprostowana" jest charakterystyczną dla „ludzi ostatniej granicy" (między puszczą a światem cywilizacji), których Grey Owl wspomina w jednej ze swoich książek. Traper jest człowiekiem prostym, odważnym, silnym i nie lubiącym zbytecznych słów, chyba że opowiada przygody — beletrystykę pierwotnego życia. Prawo szlaku „głoszące, że każde przedsięwzięcie musi być doprowadzone do końca i nikt nie ma prawa wykręcać się od spełnienia swoich obowiązków", jest doskonałym probierzem wytrwałości i opanowania. Walka z wciąż zmieniającemi się warunkami atmosfery i terenu hartuje, wymagając celowej pracy. Prawo sprawiedliwe, za konieczny wysiłek dające zaraz nagrodę w postaci zdobyczy, lecz karzące nieraz śmiercią zaniedbanie, jest dobre: tu żaden kant nie pomoże, kuzynek nie pożyczy. „Próba szlaku" to najdoskonalsza szkoła charakteru. W puszczy nie można się nikim wyręczać, a po ciężkim dniu dźwigania ciężarów trzeba jeszcze rozbić obóz i przygotować sobie wieczerzę. „Puszcza potrafi... wydobyć na wierzch wszystkie męskie pierwiastki człowieka... Całe życie spędzone wśród majestatycznych ...drzew, ciągłe obcowanie ze stworzeniami, które nie znając techniki oszustwa i występku nigdy mnie nie zdradzą, przebywanie na udrzewionych obszarach uczą pokory.

Walka jest i w społeczeństwie „cywilizowanym", lecz nie jest taką „*fair play*" i codzienna szarość miejskiej egzystencji ze swemi małemi wysiłkami i mizernemi zdobyczami raczej deprawuje niż hartuje. Proste, choć niekoniecznie pozbawione wartości i głębokości, emocje oraz bezpośrednia, oczywista celowość wszystkich trudów „pielgrzymów puszczy", odzwyczają prędko od niepewnych nastrojów i wahań. Myślenie analityczne, które zabija i oślepia współczesnych, zmienia się w myślenie intuicyjne, docierające do istoty bytu. A najpiękniejsze, najdostojniejsze formy bytowania właściwie codzień otaczają człowieka szlaku: majestatyczny las, ciche lub grzmiące gromowymi wodospadami potężne rzeki, burze śniegowe, i całe królestwo zwierząt; zna on rozkosze zupełnego odprężenia po długim wysiłku całodziennej pracy fizycznej na powietrzu, kiedy spartańska kolacja wyśmienicie smakuje, a dym z fajki snuje się razem z dymem ogniska pomiędzy tajemniczo milczącemi drzewami — wtedy rodzi się prawdziwa poezja.

Kiedy urzędnik wypełnia mnóstwo papierków, których wykonanie ani układ nie zależą od niego, jest on o sto mil od radości zbudowania domu swego własnemi rękami.

Przerost mechanizacji materialnej i duchowej każe nam tęsknić za prostszym i zdrowszym życiem, dlatego Grey Owl jest tak poczytny. Czynności w wyspecjalizowanym „kulturalnym" bytowaniu rozpadły się na swe części składowe, ich początek i koniec giną z przed oczu pracującego pionka, umieszczonego gdzieś w środku szeregu. Życie codzienne jest dlań monotonnym powtarzaniem się szeregu nudnych czynności, bezcelowym kalejdoskopem odcieni szarości. Twórczość jest w ten sposób wyeliminowana z życia ogromnej większości ludzi.

HELENA RADZIUKINASÓWNA

(Dok. nast.)

NA WIDOWNI

Zamki na lodzie w polityce. — Istotna treść idei jagiellońskiej. — Unie narodów mających jedno posłannictwo i jeden interes.

W SPAWACH politycznych, a zwłaszcza w dyskusjach politycznych wszystkie pojęcia winny mieć swój istotny walor i pewną wyraźną treść. Źle się dzieje, gdy krążą bezkarnie jakieś frazesy, czy zawołania, których sensu bliższego nikt nie zna i które każdy po swojemu rozumie.

Frazesów tych mamy dużo, ale nie wszystkiemi warto się zajmować. Wiele z nich jest skazanemi na śmierć i rozprawianie się niemi przedłuża tylko ich niepożądany byt. Naprawdę warto mówić jedynie o tych, które frazesami być nie powinny, swoją konkretną treść mają i ciągle się nam będą przypominać. Do takich właśnie należy— idea jagiellońska.

Coś bowiem, co się w czynach przejawiło i o czem mówi nam historia, napewno istniało i miało swój sens. A że równocześnie to coś dało nam potęgę i przeobraziło prawie nagle na naszą korzyść rażącą wprost dysproporcję sił polsko-niemieckich, więc będzie się nam ciągle, a już zwłaszcza dzisiaj po *Anschluss*'ie i Monachium, przypominać. I z tym bardzo realnym pojęciem nie uporamy się wcale, przecząc mu, albo uważając je za mrzonkę. Historia nas właśnie uczy, że unia z pogańską i wrogą Polsce Litwą, która w rezultacie przyniosła nam Grunwald, lub prawie unia z Czechami, które niedługo przedtem odebrały nam Śląsk i szkodziły na każdym kroku — mogły współczesnym wydawać się jeszcze większą mrzonką, a okazały się nawskroś realne i dla Polski wysoce korzystne. Śmiało też można powiedzieć, że w polityce, pod warunkiem, że coś tkwi w logice wydarzeń — nigdy nie ma niemożliwości i małodusznością jest rezygnowanie z różnych trudnych planów i posunięć. Ostatecznie i w życiu narodów „ tylko z zamków na lodzie powstają na ziemi pałace", a grunt tylko w tem, by te zamki starać się dźwigać w oparciu o rzeczywistość i w ciągłem liczeniu się z jej elementami.

Wracając jednak do naszego tematu, najprzód należałoby dokładniej zdefiniować samo pojęcie naszego marzenia. Spotkałem się parę razy z twierdzeniem, że idea jagiellońska, oznacza zgodną współpracę Polski, Węgier i Czech, bo tych trzech królestw królami kiedyś byli Jagiellonowie. Wydaje mi się jednak, że tu zachodzi pewne nieporozumienie, i że takie geograficzne zacieśnienie się przeczy tej idei.

Jeśli bowiem chodzi o historię to w okresie lat 1490—1526, to jest w tym jedynym okresie kiedy wszystkie te trzy królestwa były równocześnie urządzone przez jedną dynastię, Czechy obejmowały sobą Łużyce, Węgry były w unii z Chorwacją, a Polska w unii z Litwą, która obejmowała Ukrainę. Ponadto zaś hospodarowie multańscy składali hołd królowi Węgier, a mołdawscy i wielki mistrz krzyżacki Polsce. Pod bezpośrednim, więc i pośrednim władztwem tych trzech państw znajdowała się literalnie cała środkowa Europa od Bałtyku po Adriatyk i od Łaby do Dniepru, a sfera ich wpływów i dążeń obejmowała całe Bałkany, Krym i północ Bałtycką. Jednym słowem idea jagiellońska nie jest ciasną ideą współpracy dwóch, czy trzech narodów, ale zjednoczenie się w imię wspólnych zadań i interesów, całej obszernej grupy narodów wyraźnie wyodrębnionych przez historię i geografię.

Jest też ideą zjednoczenia się dobrowolnego. Żadna bowiem z licznych unii jagiellońskich nie uciekała się do przymusu. W Czechach sam narodowy król, Wielki Jerzy Podjebradzki usunął syna od tronu, by miejsce dla Jagiellonów zostawić. Na Węgrzech Władysławom drogę do korony otwarły wolne elekcje, a o Inflanty wojna toczyła się tylko dlatego, że Szwecja chciała nam odebrać kraj, który z nami się już związał. Idea unii obejmowała sobą wszystko i nie tylko państwa łączyć chciała, ale i narody. Unie kościelne są tego dowodem i ta ogromna żarliwość, jaką Polska w tę ideę włożyła przelewając za nią męczeńsko krew swoich świętych, jak Andrzej Bobola, czy Jozafat Kuncewicz.

Podstawą do tego zjednoczenia były wspólne zadania. Jest rzeczą uderzającą, że wszystkie te narody bez wyjątku powołują się na jednakową misję historyczną i wszystkie szczycą się tem, że piersiami swemi broniły zachodu przed obcym mu wschodem i krzyża przed półksiężycem. Jeśli my mamy najsławniejszy ze wszystkich Wiedeń i średniowieczną Lignicę, której rocznica się zbliża, to Węgrzy obronę Belgradu przez Hunyadego i wszystkie boje szesnastowieczne Rumunii Stefana Wielkiego i jego zwycięstwo pod Rakową, Chorwaci Zrińskich i Gradczanicę, a nawet ultra zachodni Czesi Jarosława ze Sternberku i jego bój pod Ołomuńcem z Tatarami. Galeria tych bohaterskich rycerzy krzyża jest przeobfita i nie brak w niej nawet ani Albańczyków, jak Jerzy Kastriota ani kozaków, jak Konaszewicz-Sahajdaczny. Lotne czajki płynęły nie tylko „palić pałace, rąbać fontanny", ale i porywać cudowną ikonę — „obraz co płacze krwawemi łzami"... Potężnego tchnienia tych czasów nic nie zdołało zamazać i stały się one wiecznym źródłem idealizmu i szczytnej dumy narodowej.

Ale były jeszcze i wspólne a bardzo realne interesy — konieczność obrony swojej samoistnienia przed naporem germanizmu z zachodu i Moskwy od wschodu. Święty Stefan, tak samo jak Mieszko i Bolesław, broniąc się przed cesarstwem, zwracali się o protekcję do papieża. W Rzymie przed zachłannością Bizancjum ratunku szukali, carowie Bałkanów. Braterstwo broni na wschodzie, czy zachodzie raz po raz nieuchronnie łączyło te ludy i zmuszało do poniechania wzajemnych waśni. Pod Warną walczyli obok siebie Węgrzy, Polacy Rumuni i Bułgarzy, pod Grunwaldem Polacy, Czesi, Rusini i Litwini, wreszcie już później, u zmierzchu, odezwała się ta polityka dalekim echem w polityce Czartoryskich, łącząc Polaków z Węgrami, czy narodami Bałkanu i Kaukazu na polach walk wyzwoleńczych. Historia dawała też przykład, że do decydujących walk stawali możliwie wszyscy i potrzebę jedności doceniali.

A dzisiaj przecież nic się nie zmieniło. „Przyjaciel" niemiecki dusi nam oddech na Bałtyku, krępuje wolność czeską i węgierską i rozlicznemi mackami wciska się na Bałkany. Metoda Schachta zbyt jest bezwzględna i oszukańcza, by oczu nie otwierała.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

ŻYDZI W MASONERII U. S. A.

NIE TRZEBA zapominać, że Najwyższe Rady Amerykańskie z wielu przyczyn wywierają przeważający wpływ na masonerię szkocką całego świata; przyczyny te są następujące: 1) wyższe stopnie zostały założone i przerobione przez masonów - żydów amerykańskich: Morin i Dalcho, przy współpracy kilku ich współwyznawców; 2) Najwyższe Rady Europy są zależne od amerykańskich; 3) łączność Najwyższych Rad z masonerią żydowską, m. in B'naï B'rith jest ścisła; 4) Najwyższa Rada Stanów Zjednoczonych rządzi przeważającą większością lóż amerykańskich, skupiających ogromną cyfrę: około 3.000.000 członków i, że z tego powodu wywiera ona prawie dominujący wpływ na państwo.

Otóż Roosevelt jest wpływowym członkiem rytu szkockiego, otacza go trust żydów i masonów szkockich i jest szampionem amerykańskiej partii demokratycznej.

Podobnie jak Wilson w 1917 rzucił na szalę siły amerykańskie i rozstrzygnął konflikt masonerii angielskiej i łacińskiej z niemieckim imperializmem, opartym o żydów polskich i wielkie loże pruskie, tak też Roosevelt usiłuje rzucić na szalę pięść Stanów Zjednoczonych, spodziewając się interweniować w roli pośrednika. Próbował tego w sierpniu ubiegłego roku i próbuje teraz na nowo".

Drugim celem mowy Roosevelta było poprowadzenie propagandy przeciw gen. Franco i obrona czerwonych bandytów. Obok względów ideowych odgrywają tu dużą rolę względy imperialistyczne i obawa utraty wpływów w Ameryce Południowej. Z. Z.

WIELKA GRA

WIELKIE plany wywołania rewolucji światowej spełzły na razie na niczem. Rewolucja hiszpańska jest w stadium likwidacji i lada dzień generał Franco odniesie ostateczne zwycięstwo. We Francji nastąpiło pewne otrzeźwienie, rządy frontu ludowego się załamały.

Upadek rewolucji w tych dwu krajach byłby upadkiem wielkiej podpory rewolucji światowej i pogrzebaniem, na czas dłuższy, ambitnych planów ostatecznego zapanowania nad światem. Ten stan rzeczy powoduje podejmowanie rozpaczliwych wysiłków, z których pomocą masoneria usiłuje utworzyć wielką koalicję światową, zdolną do ponownego zapanowania nad światem i pokładanie wielkich nadziei w odsieczy demokracji amerykańskiej. Mowa Roosewelta jest odpowiedzią Najwyższych Rad Amerykańskich (których wysłańcy niedawno wizytowali loże wszystkich państw europejskich) na znaki, wołające o ratunek, ze strony braci europejskich.

Bardzo ciekawe refleksje w tej kwestii snuje francuskie pismo antymasońskie: *Revue Internationale des Sociétés Secrètes* [1]). Pismo to, stale wytykające katolikom błędy postępowania i niezrozumienia rzeczy, pisze:

„Nie bez głębokiego żalu widzieliśmy, jak tylu katolików, nawet posiadających dobre intencje, lecz nie mających pojęcia o najelementarniejszych zasadach polityki międzynarodowej, entuzjazmowało się słowami amerykańskiego prezydenta z tego jedynie powodu, że z respektem wymienił słowo „Bóg" i użył terminu „siły moralne". Wystarczy dziś, aby jakiś mason mówił o Bogu, a katolicy z lewicy nie posiadają się z radości. Lecz Hitler również wzywa Boga! Dlaczegóż nie chcą widzieć, że Roosevelt wzywa Boga, jako podpory demokracji, tak, jak Hitler, jako podpory rasy!"

Fakt ten — to: „*La main tendue*" na skalę międzynarodową! W ten sposób masoneria dąży do wprowadzenia potęgi Stanów Zjednoczonych na scenę europejską w charakterze superarbitra związku wszystkich demokracji, mającego swym najwyższym wyrokiem rozstrzygać spory europejskie.

I rzeczywiście w swej słynnej mowie Roosevelt ogłosił, że Stany chcą zerwać ze swą tradycyjną polityką izolacji i że będą interweniować w Europie w obronie demokracji, wolności i t. d. Jest to oświadczenie ważne i daje nam dużo do myślenia, albowiem na fakt okrutnego prześladowania katolików w Meksyku, Stany nie zaprotestowały ani słowem, a obrona demokracji, wolności i t. d. wywołuje aż takie oświadczenia, grożące z poza oceanu. Jasnem więc jest, że ta obrona „demokracji" nie jest niczem więcej, jak obroną judaizmu. Tego faktu jednak liberalni katolicy widzieć nie chcą. Z. Z.

[1]) Nr 2 15.I. 1939 r.

Z OBCEGO ŚWIATA

Z. S. S. R. WYELIMINOWANY

DYKTATOR Stalin wygłosił trzy godziny trwającą mowę na otwarciu osiemnastego kongresu partii komunistycznej, w której zaznaczywszy, że Związek Sowiecki prowadzi politykę pokojową, wyraził pretensję pod adresem Francji i Anglii, że prowadzą politykę nieinterwencji, czyli, że winny były wywołać wojnę, w przeciwnym bowiem razie może kiedyś wybuchnąć... wojna. Do takich już zawiłości myślowych musi uciekać się pan życia i śmierci Rosji, ażeby wytłumaczyć się przed zgromadzonemi na Kremlu delegatami ze swej „linii" nieinterwencji, którą zasadniczo potępia. Kogo bo uważała dawna Czechosłowacja za istotnego gwaranta swej całości i niepodległości? Z. S. S. R. Jaka armia miała być postrachem *Reischwery*? Czerwona. Co robiła Moskwa w przełomowych dniach wrześniowych? Zdobyła się na *démarche* dyplomatyczną ambasadora Patiomkina. Wystarczy.

Przemówienie Stalina jest przyznaniem się do tego, że Związek Sowiecki został w rozgrywkach międzynarodowych wyeliminowany. Stalin zmarnował dziedzictwo Lenina imponujące skalą zamierzeń. Pochodnie, które miały podpalić świat ogniem rewolucji zostały zgaszone. Jeszcze pryskają iskry na półwyspie pirenejskim, ale ognia tam nie znajdzie nikt, ani jednego płomyka, sam jeno swąd spalenizny.

Rok ubiegły był dla Z. S. S. R. rokiem poprostu katastrofalnym. W tym to roku w Hiszpanii szala zwycięstwa poczęła się stanowczo prze-

chylać na stronę wojsk narodowych generała Franco, w tym to roku zniszczona została baza komunizmu w Europie środkowej — beneszowa Czechosłowacja, która po przeżyciu swych chwil tragicznych rozbioru państwa przybrała się w narodowe szaty, w tym to roku Francja ujrzała rząd silnej ręki od dawien dawna w republice niewidziany, rząd który potrafił przełamać anarchię generalnego strajku, w tym to roku wreszcie Japonia pokazała incydentem pod Czang-Ku-Feng, że stać ją na wojnę z Rosją Sowiecką, ostatnio zaś... ostatnio dowiedzieliśmy się o układach handlowych włosko-sowieckich podjętych z inicjatywy Rzymu i o układach handlowych angielsko - sowieckich podjętych z inicjatywy Londynu. A więc Rosja staje się w tej chwili przedmiotem rozgrywek w wyścigu politycznym dwóch mocarstw, czyli udowadnia, iż nie należy jej uważać za imperium. Komunizm przestał być już „opium dla ludu" w Europie, stracił swą atrakcyjność. Mamy nadzieję, więcej — pewność, że traci powoli swój wyraz i w życiu wewnętrznem Rosji. Działa tam nieubłagane prawo „opierzonej rewolucji", odbiegającej z dniem każdym od ideału, dla którego zjawiła się, niszcząc gwałtownie stary *regime*. A Stalin jest niewątpliwie najdoskonalszym gwarantem działania owego prawa.

SŁOWACY TRAGICZNI

„OBCHODZIMY" właśnie rocznicę wkroczenia wojsk niemieckich do Wiednia, czyli rocznicę „*Anschlussu*" Austrii. Rok temu rozpoczął się okres wielkich przemian w Europie. Po Austrii przyszedł konflikt polsko-litewski, potem Monachium, zajęcie przez Niemcy Sudetów a przez nas Zaolzia, przez Węgrów zaś Ungwaru i Munkacza. Byliśmy przekonani, że okres wielkich przemian skończy się wspólną granicą polsko-węgierską, a tymczasem kończy się on podróżą ministra słowackiego ks. Tiso do Berlina.

Co to wszystko znaczy?

To znaczy, że III-cia Rzesza nie zakończyła wcale aktem przyłączenia ziemi sudeckiej przebudowy Europy środkowej w myśl swoich planów. Ci, którzy sądzą, że tylko metodą powiekszania swego terytorium państwowego nowemi obszarami buduje się potęgę, myślą prymitywnie. „Uzupełnienie" obszaru narodowego jest tylko wzmocnieniem bazy operacyjnej. To nacjonalizm. Obejmowanie zaś protektoratu nad Czechami przeciw Słowakom a nad Słowakami przeciw Czechom to już imperializm.

Słowacy wydają się być ludem nad wyraz tragicznym. Liberalizm dziewiętnastowieczny pobudził w nich ambicje narodowe. Pragnęli stać się narodem. Ale na to potrzeba długich, długich lat. Narodów się nie improwizuje. Dzisiaj od chwil pierwszych przebudzeń upłynęło tak niewiele czasu, a młody, kiełkujący zaledwie organizm narodowy zmuszony jest do przeżywania burz przenoszących odporność jego sił. Oni to stali się obecnie punktem gdzie następuje niewielka rozgrywka starych narodów historycznych o prymat w Europie środkowej.

Młodzi, naiwni politycznie Słowacy uwierzyli złudzeniom idei głoszącej samostanowienie narodów o sobie. Po długiej, ciężkiej niewoli węgierskie spodziewali się w sojuszu państwowym z Czechami znaleźć to, czego najbardziej pragnęli, a jednocześnie to, czego sobie nie mogli w gruncie rzeczy wyobrazić — wolności. Jakiż zawód ich spotkał! Poczęli legitymować się przed Pragą i przed światem całym umową pittsburską, ale Czesi posiadali więcej od nich państwowego zmysłu. Gdy kanclerz Hitler ujął się za wszystkimi narodami żyjącymi w obrębie republiki czechosłowackiej, uwierzyli szczerym intencjom Berlina. Stąd owa podróż ks. Tiso. Słowacy jeszcze nie mogą zrozumieć, że są tylko jedną więcej kartą do wygrania lub przegrania w rękach mocarstw istotnych. Brak starej kultury politycznej nie pozwala im na spojrzenie realistyczne. Wciąż wierzą, że światem rządzi idea samostanowienia o sobie narodów... A trzeba trzeźwo spojrzeć na rzeczywistość i zrozumieć, iż oddanie się pod opiekuńcze skrzydła Berlina jest równoznaczne z oddaniem się w niewolę najcięższą. Czy ks. Tiso i jego przyjaciołom politycznym nigdy nie pojawiła się wizja Słowacji w postaci kraiku łużyckiego broniącego się resztkami wątłych sił przed całkowitym wynarodowieniem? B.

Z ROZMYŚLAŃ WIELKOPOSTNYCH

Summum crede nefas animam praeferre pudori
Et propter vitam vivendi perdere causas.
(Juvenalis)

„Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę!"
A jednak trzeba żyć miesiące, lata,
Prężąc co chwila woli swej potęgę,
Zanim się dojdzie do tamtego świata,
By nie zejść z prostej ale stromej drogi
Na wonnym kwiatem kuszące rozłogi.

Któż w tej wędrówce nie wątpił o sobie,
Ani o celu, do którego zmierza,
Nie westchnął czasem: ach, gdy legnę w grobie,
Cóż mi po cnocie i harcie żołnierza?
Tak samo zgniją święci i zbrodniarze,
Więc *carpe diem*! — tak rozsądek każe!

Któż po siedemkroć nie padał codziennie
I siedmią grzechów głównych się nie kalał,
A chcąc nad innych wzróść wysokopiennie,
Nie czuł, że skrzywił się w sobie i zmalał,
Jak chora sosna, co na lichej glebie
Przestaje rosnąć i myśleć o niebie.

Otóż to: niebios zaniedbać błękity,
Kurczyć się kostnieć, zamierać powoli,
Zagasić ducha płomień znamienity
I żywym trupem być w grzechów niewoli,
— Bo jakież inne miano mu przystało
Jeśli wyzbyło się boskości ciało?

Człowiek, co w sobie zaparł się człowieka,
Zamiast się w ludzkim ujrzeć majestacie,
A przez pokutę iść ku Bogu zwleka,
Ten ci jest trupem: ty i ja mój bracie,
Mówię, bom smutny i sam pełen winy,
Jako z tej samej ulepiony gliny.

Nie dbaj więc o to, co szybko przemija,
Nie bój się śmierci, co ciało zabija,
Lepiej byś nawet jutra nie miał dożyć,
Niżbyś na duszy swej miał doznać szkody,
Bo wiedz: największym jest grzechem żywot nad cnotę przełożyć
I, chcąc życie zachować, stracić do życia powody".

ARTUR CHOJECKI

NAUKA I LITERATURA

KRONIKA BAINVILLE'A

LOS PUBLICYSTY jest pod wieloma względami podobny do losu aktora — póki żyje i pisze, póty jest znany i oddziaływa na swoich współczesnych, może nawet odegrać pierwszorzędną rolę w biegu wydarzeń. Gdy umrze, idzie w zapomnienie — starych gazet nikt nie czyta, a zresztą papier rotacyjny nie trwa długo — rozsypuje się w proch.

Jacques Bainville był nietylko historykiem, był publicystą, a nawet dziennikarzem. A jednak od zapomnienia będą uchronione nietylko jego książki, lecz także te artykuły które w ciągu kilku dziesiątków lat zamieszczał codziennie w *„L'Action Française"* i w innych dziennikach paryskich. Wierni bowiem przyjaciele znakomitego pisarza wybierają co celniejsze artykuły, łączą je według przedmiotu traktowanego lub też według rodzaju twórczości i wydają w postaci książek pod ogólnym tytułem: *„Collection Bainvillienne"*. *(Librairie Plon).* Do trzech dawniej wydanych tomów: *(„La Fortune de la France", „La Russie et la barrière de l'Est" „L'Angleterre et l'empire Britannique")* przybył teraz tom nowy — *„Chroniques"*. Są to rzeczy pisane w latach 1908—1914, a więc przed wojną, w czasach, które obecnemu pokoleniu wydają się przedhistoryczne. A jednak mimo dwudziestu lat, które upłynęły od czasu gdy te „kroniki" były pisane, mimo, że ich autor miał miał wtedy lat 30 — 35, czyta się je dziś jeszcze z niesłabnącem zainteresowaniem. Bo też Bainville miał umysł niepospolity, myśl jego działała niezmiernie sprawnie. Posiadał przytem zainteresowania wszechstronne i wiedzę rozległą.

Przerzucamy karty tej książki i widzimy, iloma to zagadnieniami interesował się kronikarz — polityką, historią, literaturą, teatrem, muzyką, malarstwem. O czemkolwiek pisał, znał swój przedmiot dobrze; zawsze umiał z drobnego nawet faktu wyprowadzić ciekawe ogólniejsze wnioski.

Lata 1908 — 1914 to był dopiero początek kariery pisarskiej Bainville'a. Najlepsze jego dzieła historyczne — Historia Francji, Napoleon, rzecz o III Republice — zostały napisane po wojnie. A jednak ileż treści zawierają te kilkodziesięciowierszowe „kroniki". Ot naprzykład artykuł napisany w r. 1912 a noszący tytuł: „Sprawa Kanady". Istotną jego treść stanowi zagadnienie — co ważniejsze dla Francji, sprawy kontynentalne czy zamorskie? Rzecz tak aktualna jakby była pisana dzisiaj, bo zagadnienie powyższe powróciło na porządek dzienny w polityce francuskiej.

Ludwik XV oddał Kanadę Anglikom. Rozległy, piękny i bogaty kraj, kuło się więc i kuje zarzut przeciw Francji królewskiej, że była rozrzutna i nie dbała o swą ziemię i swe posiadłości. Odpowiada na to Bainville swoim zwyczajem — krótko, jasno i dobitnie: „Zapewne, Ludwik XV i Choiseul poświęcili kolonie, lecz zrobili to dlatego, by nic nie poświęcić w Europie. Trudno powiedzieć, co by się było stało, gdyby Ludwik XV był postąpił inaczej. Ludwik XV nie zgodził się na to, by dla pozyskania sojuszu z Rosją upoważnić ją do zajęcia jednej z prowincyj polskich. Według p. Emila Bourgeois odmowa ta zgubiła wszystko. Lecz ta odmowa właśnie pozwala na zrozumienie, że król nie chciał dopuścić żadnej zmiany w Europie dla względów związanych z Azją i Ameryką. Traktat paryski pod tym względem nie był sprzeczny z poglądami królewskiemi — pozostawiał nienaruszoną naszą sytuację w Europie".

Byli ludzie w Anglii — przypomina Bainville — którzy mawiali, że traktat paryski był niekorzystny dla Wielkiej Brytanii, która poświęciła rzecz istotną, a mianowicie swoje interesy europejskie. Anglia zajęta w Indiach i w Ameryce nie mogła się wtrącać w sprawy francuskie na kontynencie europejskim.

„A zresztą kończy Bainville swe rozważania — jak się później okazało, choć było rzeczą godną pożałowania utracenie imperium kolonialnego, to jednak jest dużo Ameryk, Azyj i Afryk na świecie, równie łatwo wykrawać tam dla siebie posiadłości, jak je tracić; mamy ich dziś nawet więcej niż można strawić i utrzymać (przykład—Kongo) Tymczasem Lotaryngia, tej ani zamienić nie można, ani zastąpić, ani odnaleźć; nie znam dwóch takich prowincyj na świecie".

I czytając „kroniki" Bainville'a o Bismarcku lub Liszcie, o Hertzenie lub Björnsonie, o Russie lub Mistralu o wojnie lub o bridżu — zawsze znajdziemy wnioski, które nas zainteresują, które otworzą przed nami widoki rozległe na różne dziedziny życia ludzkiego.

Zapewne, „kroniki" te były pisane z dnia na dzień dla Francuzów; nie zawsze zorientuje się w nich dostatecznie cudzoziemiec, który nie zna bliżej Francji. Lecz tyle jest w nich ludzkiego, tyle mądrości głębokiej, że muszą budzić zainteresowanie powszechne.

STANISŁAW KOZICKI

FRONTEM DO ZACHODU

PO „Warcie nad Wartą" nastąpił tom zatytułowany „Poznaj Poznań" [1]) i bodaj jeszcze temat nie został wyczerpany, choć w dwu wymienionych książkach świetny pisarz uprawia zagon wielkopolski nie na żarty, odwala zapomniane skiby jedna po drugiej. Czyni tem wielką przysługę nie wyłącznie Wielkopolanom ale narodowej kulturze rozumianej jako całość. Z intencją swoją w tym względzie zdradził się zresztą jeszcze w przedmowie do pierwszej książki.

Zadanie autora pośrednio leży w naprostowaniu wyobraźni zbiorowej polskiego społeczeństwa od niepamiętnych lat wychowywanego umysłowo w atmosferze podmuchów ze wschodu bądź z małopolskiej prowincji, którą Nowaczyński złośliwie chrzci — polską Gaskonią.

W samej rzeczy, era jagiellońska to już początek tej roli dominującej, jaką w dziejach polskich odzierżyły kresy wschodnie. Stamtąd idą przez długie wieki podniety, zapewne dlatego, iż niefortunność naszych losów kazała się obrócić frontem ekspansji ku wschodowi. Więc i poczęły ucierać się szlaki, któremi najpożywniejsze soki transpirowały odtąd we wskazanym kierunku. Zarosły prastare drogi, tak jak Wisła zdążające ku słonym wodom Bałtyku. Północne i zachodnie kraje poszły w zapomnienie. Przyszedł romantyzm i, choć rodem z Niemiec, został zaszczepiony na wybujałych, kresowych „kulturach", zaciążył na psychice Polaków w sposób decydujący o obliczu całych pokoleń.

Była jedna krótka epoka, kiedy wydawało się, zwycięży w powszechnem poczuciu zachodni styl kultury. To mianowicie okres Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, czasy chlubiące się, poniekąd słusznie literaturą Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przy wszystkich niedostatkach w dziedzinie sztuki oraz uprawy języka ojczystego, conieco w warstwach odgórnych zgallizowanego, społeczeństwo ówczesne zachowało duży stopień poczytalności politycznej, serce na właściwem miejscu, choć powściągliwsze niż u romantyków, — wreszcie poczucie właściwego dystansu między literaturą a życiem, czego nie można było powiedzieć o pokoleniu następnem, spalającem się bez reszty w fikcyjnych przeżyciach urojonego świata, stworzonego przez wieszczących narodowi poetów.

Więcej miary i rozsądku, więcej poczucia czasu i przestrzeni, t. zw. rzeczywistej polskiej (jakże nieraz głodnej i uciskanej) rzeczywistości, da naszej kulturze udział w niej kresów zachodnich — ile już dał, stara się Nowaczyński tutaj wykazać, skrzętnie wyławiając bodaj cień cienia, bodaj

[1]) Adolf Nowaczyński. „Poznaj Poznań. Poznań — 1939. Nakładem Drukarni Polskiej Sp. Akc. w Poznaniu. Str. 304.

ślad pochodzenia wielkopolskiego u wybitnych uczonych, pisarzy i działaczy politycznych na przestrzeni długich wieków naszego bytu.

Do zbożnego dzieła zabrał się autor z właściwą sobie pasją duszy, wyrywając chwasty i zielsko, burząc zetlałe mury, czasami waląc taranowemi uderzeniami w uznane przez wszystkich monumenty. To jego namiętność: w oczach oburzonego tłumu wywracać fetysze, zdzierać nietylko maski ale i przynależne niejednemu czołu diademy... ażeby w niedługi już czas potem wkładać je na zelżone dopieroco skronie z hieratycznem namaszczeniem celebransa. W tej pozornej niekonsekwencji kryje się jeden z głównych rysów talentu Nowaczyńskiego, jego wrażeniowość rasowego żurnalisty, znajdującego dość widzenia świata w błyskowem świetle momentalnego zdjęcia reporterskiego.

W tomie „Poznaj Poznań" występuje przy zwykłej werwie polemicznej, oraz jedynej w Polsce, w tym stopniu posiadanej, sztuce kalamburowej, sztuce, która stworzyła *sui generis* szkołę pisarską — bez zmiany ta sama ansa do „krakauerów" ze „smoczego grodu"; ona to wyostrza jeszcze ostry i tak już oręż pisarza, czyniąc z walki o pewien określony styl życia polskiego bojowanie z uciążliwością dotychczasowego nieładu.

Nowaczyński z satysfakcją odnajduje w cieniu niejednej wielkiej postaci jej „szarą eminencję" bądź też sławniejszą i zasłużeńszą personę tegoż nazwiska. Oto znany z okresu „cyganerii warszawskiej", Wielkopolanin August Wilkoński, autor do dziś czytanych „Ramot i ramotek", miał żonę takoż literatkę. Któżby się jej istnienia domyślił („Miejsca dla Pauliny Wilkońskiej!") i co ważniejsza — tego, że ambicją tej utalentowanej beletrystki było, zapewnić mężowi nietylko egzystencję (on hulał — ona pracowała) ale i warunki wydawnicze, „dobrą prasę" etc. Nauka uznaje i sławi Ostroroga, pisarza politycznego polsko-łacińskiego z XV wieku, autora traktatu „Monumentum"... — jeszcze w „Warcie nad Wartą" przeczytaliśmy o drugim Ostrorogu, wnuku głośnego statysty, autorze dzieła o myślistwie napisanego w w. XVI. Nowaczyński, potrosze naprzekór uczonym molom, intuicyjnie wynosi na piedestał „juniora", widząc w nim rasowego ziemianina, przedstawiciela polskiej *gentry*, egzemplarz ludzki niemniej godzien uwagi, niż tamten Ostroróg, znany i uznany. Podobnie jak w niniejszym tomie w szkicu „Kasprowicz prymicjant" więcej sobie waży młodzieńczy wielkiego poety utwór dramatyczny „Świat się kończy" (1891) niż „Hymny", „Na wzgórzu śmierci", „Krzak dzikiej róży" etc., — znowóż inaczej niż krytyka oficjalna. Jest w tem pewna metoda, intuicyjnego impresjonizmu czy raczej impresyjnej intuicji w krytycy. Któż nie przyzna po większej części racji śmiałym, syntetycznym rzutom myśli autora.

Ale nie zawsze. Trudno np. zrozumieć jego częsty przekąs w stosunku nie już do Mickiewicza, któremu przecież tak obiektywny zawsze Krasiński przyznawał, iż oni „wszyscy z niego", ale do ukochanego przez naród za życia i po śmierci Księcia Józefa „rycerza bez zmazy", „ostatniego po szyszaku", o którym to — polskim Cydzie przecież nietylko współczesny Ursyn ale i antiromantyczny Wyspiański pisał ze czcią

(„Dosięga głową tronu,
Wart większej czci, pokłonu
Niżeli król ten Książę").

Kapitalny jest urywek o pułkowniku Molskim, o którym Osiński mawiał; „Jakikolwiek los jest Polski, zawsze wiersze pisze Molski", albo o sławnych dynastiach żydowskich ..ponoć właśnie z Wielkopolski, spokrewnionych z niejedną mitrą lub hrabiowską koroną. Trudno wszystko wyliczać. Przeczytajcie, a nie pożałujecie.

St. J.

ZE ŚWIATA MUZYKI

MŁODZI I STARSI ULUBIEŃCY

ZALEDWIE opuścił Warszawę zespół baletu łotewskiego, pozostawiając na długo wrażenie prawdziwej uczty artystycznej a już mamy do zanotowania w muzycznym repertuarze długi szereg zdarzeń zarówno na scenie, jak na estradzie. Jubileusz Lucyny Messalówny (darujcie że zaczynam... od końca) stał się niebywałą w życiu stolicy uroczystością.

Na sali Filharmonii, wypełnionej po brzegi publicznością widzieliśmy zarówno dawnych, przedwojennych melomanów, pamiętających młodziutką Messalkę u boku młodego Redy, jak i słuchaczy późniejszych, wreszcie dużo młodzieży, znającej duszę ulubienicy operetki warszawskiej raczej z legendy. Faktem jest, że głos Messalówny, pomimo blisko trzydziestoletniego jej obcowania ze sceną nie stracił nic ze swojego uroku. Ta sama rozległość skali, to samo ekspresja i niezwykła muzykalność. A uśmiech artystki, ten za którym szalała Warszawa przedwojenna! Jubileusz tej świetnej po dziś dzień śpiewaczki wyraził się koncertem *monstre*. Najlepsze siły polskie złożyły jej w ten sposób swój hołd i przyczyniły się do urozmaicenia olbrzymiego programu wieczoru. Nie potrzebuję dodawać, że owacjom, kwiatom i bisom nie było końca.

Cofając się konsekwentnie wstecz, poświęcić pragnę słów kilka recitalowi Henryka Sztompki. Młody ten pianista jest również ulubieńcem naszego miasta, chociaż słucha go chętnie inna niż Messalkę, publiczność. Czar gry Sztompki polega, zdaniem mojem, na jej bezpośredniości. Ani cienia pozy taniego efekciarstwa, chęci schlebiania t. zw. „najszerszym kołom". Gra Sztompki jest zapewne odbiciem jego psychiki. Prostota, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, technika niezrównana, będąca atoli jedynie środkiem pomocniczym wyrazu, ton piękny, do utworów Chopina wymarzony — wszystko to składa się na wrażenie bardzo wzniosłe i o dużej wartości artystycznej. Tak zagranej Sonaty b-moll nie słyszy się często. A Polonez fis-moll z wplecionym przez kompozytora mazurkiem! A inne mazurki, w których Sztompka od wielu lat czaruje słuchaczów! Sala wypełniła się do ostatniego miejsca a nastrój panował analogiczny do koncertów Józefa Hofmana i Rachmaninowa. Warszawa zdała tym razem egzamin stawiając się tak tłumnie na recital jednego z narzetelniejszych pianistów młodego pokolenia.

Nawet Ignacy Friedman, który z niewiadomych nam przyczyn dał tylko jeden koncert (i to w sali Konserwatorium) nie cieszył się tak niezwykłem powodzeniem, jak młoodociany Henryk Sztompka. Jeśli mowa o grze Friedmana, to dominuje w niej element wirtuozowski. Najlepszym tego dowodem było, że cykl etiud szopenowskich, granych przeważnie w zawrotnem tempie i „Karnawał" Schumanna wysunęły się na pierwszy plan wieczoru. Zato sonata h-moll, wymagająca nie tylko techniki, ale i wnikliwości artystycznej przyszło bez większego wrażenia. Gra Friedmana zachwyca swoją niemal akrobatyczną sprawnością, ale nie wnosi ze sobą pierwiastka niemniej z Chopinem związanego — poezji.

Wspomniane koncerty wysunęły się na czoło bieżącego okresu sprawozdawczego, były to wielkie wieczory muzyczne w życiu stolicy.

W ramach skromnych, ale zawsze dobrze przemyślanych odbywają się regularnie co dwa tygodnie Koncerty Sekcji Pomocy młodym muzykom w zacisznej sali Y.M.C.A. O imprezie tej Sekcji i jej inicjatora profesora Jerzego Żurawlewa pisaliśmy już na tych łamach niejednokrotnie. Ostatnie „wtorki" dały nam poznać grę Jana Berezyńskiego, Zbigniewa Grzybowskiego oraz Niki Ignatowiczówny. Grzybowski jest interesujący ale nie we wszystkiem.

O ile Fantazja f-moll i Scherzo wypadły korzystnie dla pianisty, o tyle formy „mniejsze“ zwłaszcza — mazurki grane były zbyt ciężko, nie miały przez to tego powabu, co np. u Sztompki. Ale Grzybowski jest jeszcze bardzo młody, może słowa życzliwej krytyki wpłyną u niego na niezbędną rewizję pewnych pojęć.

Towarzystwo Muzyki Dawnej dało przed kilku dniami ciekawą audycję w Konserwatorium. Fragment „Missa pulcherrima“ Pękuta i parę Sonat (Haydna i Mozarta) w wykonaniu pani Kazurowej miało swój wyraz i styl. Również i pani Draże z powodzeniem zagrała utwory skrzypcowe. Koncerty T. D. M. mają odrębny typ publiczności z dużą przewagą młodzieży szkolnej.

Opera warszawska dobiega końca sezonu. Wszakże 1 kwietnia podwoje Teatru Wielkiego mają się zamknąć aż do jesieni. Nie wesoły to „Prima aprilis“ dla kilkuset członków opery naszej. „Dziewczę z Holandii“ dano z udziałem ulubienicy obecnej Warszawy, p. Barbary Kostrzewskiej. Sekundowali jej — Chaveau-Zakrzewski i Szretterówna, która coraz bardziej się wyrabia. Operetka ta, melodyjna i pogodna w treści powinna liczyć na dłuższe powodzenie.

ASPER

Z SALI ODCZYTOWEJ

„SIŁY DUCHOWE U. S. A.“

W SOBOTĘ dnia 25 lutego r. b. licznie zebrana w sali Domu Katolickiego w Warszawie publiczność wysłuchała odczytu prof. Haleckiego na temat „Siły duchowe U. S. A.”

Temat ciekawy. Niestety odczyt wygłoszony z dużą swadą i umiejętnością, nie dał nam nic poza tym, cośmy i tak sami wiedzieli 20 lat temu. Odczyt ten możnaby nazwać dwugodzinnym popisem sztuki mówienia w celu ukrycia prawdziwej treści. Musimy stwierdzić, że od prelegenta katolickiego spodziewaliśmy czegoś więcej. Spodziewaliśmy się przedewszystkiem prawdy. Usłyszeliśmy zaś frazesy. Dobrze brzmiące, okrągłe, zręczne frazesy.

Usłyszeliśmy że w U. S. A. jest dużo sekt, dużo kościołów, dużo bibliotek, dużo uniwersytetów, wspaniale wyposażonych. Wydaje nam się, że wszyscyśmy to doskonale wiedzieli i bez tego odczytu.

Usłyszeliśmy, że prezydent Roosevelt pochodzi z zacnej starej rodziny holenderskiej i protestanckiej, a przecież dziennik amerykański *„The Revealer”* już w 15.10.1939 opublikował artykuł księdza G. B. Winrod, w którym podano drzewo genealogiczne prezydenta, opracowane przez Instytut Carnegie'go w Waszyngtonie.

Na podstawie tego dokumentu, pochodzenie żydowskie rodziny Rooseveltów nie podlega żadnej wątpliwości.

Roosevelt nigdy nie zaprzeczył tej wiadomości. Wprost przeciwnie. W wywiadzie zamieszczonym w New Yorku *„Times”* z d. 14. III. 1935 roku przyznał, że jego przodkiem był żyd Claes Martensen van Rosenvelt. Żyd P. Slomowitz opublikował w *„Detroit Jewish Cronicle”* (sierpień 1935) artykuł powtórzony przez wychodzący w Montreal *„Le Fasciste Canadien”* p. t. „Rosevelt — Żyd”.

W artykule tym Slomowitz podaje, że przodkowie Rossevelta byli żydzi nazwiskiem Rossocampo, którzy po wygnaniu w 1620 r. z Hiszpanii, osiedlili się w Holandii, gdzie przyjęli nazwisko Rosenfeld vel Rosenveld. Również gubernator stanu Georgia stwierdził, że Rosevelt pochodzi z żydów. Jeden z członków tej rodziny Jocobus Rosenfeld (1713) pozostał nawet wierny religii żydowskiej. Pochodzenie tłomaczy pro żydowskie nastawienie Roosevelta. Tym się również tłomaczy że całe najbliższe otoczenie składa się z żydów, odpowiadających mu mentalnością. Jego doradcą politycznym jest żyd wiedeński Feliks Frankfurter, doradcą prawnym żyd L. D. Brandeis, twórca *„New deal”*, doradcą finansowym — żyd Henry Morgenthau jr. i doradcą ekonomicznym żyd Bernard M. Baruch.

Około nich grupują się żydzi: rabin S. Wise, S. Hillman, Samul Dickstein, J. P. Warburg, H. H. Lehman, S. L. Rosenman, D. J. Saposo, E, A. Goldenweiser; Rabin Samuel Margoshes, A. Cohen, G. Swope, A. Sabath, I. Lubin, jr., Mordohai Ezekiel Moissaye, I. Olgin (znany komunista) S. Untermeyer, B. N. Cardozo, F. H. La Guardia, D. Dubińsky (komunista), F. Frank, R. Moses, A. Goldman, W. C. Bullit, A. J. Altenmeyeɹ, L. A. Steinhardt, Alb. Einstein, R. Schneiderman, H, Beis, B. Cohen, Nathan Margold. W. Lippman, D. E. Lilienthal, W. M. Ceiserzon.

W marcu 1933 roku oraz w roku 1938 Roosevelt otrzymał medale żydowskie „za specjalne zasługi dla żydostwa”. Na medalach tych figuruje sześcioramienna gwiazda Dawida. Ta gwiazda żydowska figuruje obecnie na kopertach ministerstwa Poczt i Telegrafu U. S. A., na hełmach 6-ej dywizji armii U. S. A. na pieczęci departamentu morskiego U. S. A., na nowych banknotach jednodolarowych, na oznakach policji w Chicago i Milwankel. (Biuletyn z dn. 10.I.1938 wydany przez publicystę Roberta Edwarda Edmondsona P. O. Box 19 *Trini Station N. Y. City*).

Z odczytu nie dowiedzieliśmy się również, że istnieje w U. S. A. „Stowarzyszenie walczących chrześcijańskich patriotów” (*Militant Christian Patrioty*), liczące 300 tys. członków, które wydaje pismo *„Christian Free Press”* i które walczy z komunizmem i zalewem żydowskim.

Nie dowiedzieliśmy się również, że w wysławianych przez prelegenta *Colleges* (szkoła średnia) szerzy się w zastraszający sposób bezbożnictwo i komunizm, jak to podaje znana w całej Ameryce publicystka chrześcijańska pani Elisabeeh Dilling (*„Roosevelt red record“* i *„The red network*)“. W sprawie tej przemawiał również słynny Father Charles E. Coughlin. W artykule „Prześladowanie żydów i chrześcian” (Numer listopad 1938 *„Social Justice“*) zapytuje on „dlaczego prezydent Roosevelt występuje w obronie żydów niemieckich, na których w Niemczech nałożono kontrybucję w wysokości 400 mil. dolarów, ale milczał, gdy w Rosji wymordowano 20 mil. chrześcijan i zrabowano miliardy dolarów ich własności. Nie występował również w obronie mordowanych za przekonania religijne chrześcian w Hiszpanii czerwonej. Wprost przeciwnie: 7 listopada 1938 jako w 21 rocznicę bolszewickiej rewolucji prezydent wysłał gratulacyjną depeszę do Prezydenta Sowietów Kalinina: „W rocznicę święta narodowego proszę przyjąć me gratulacje i szczere życzenia dla całego narodu i państwa”.

Równocześnie Kalinin oświadczył na meetingu w Leningradzie: „Naszym wrogiem jest świat kapitalistyczny. Żyjemy dla kompletnego zwycięstwa komunizmu w całym świecie“. A sekretarz generalny partii komunistycznej U. S. A., Farl Browder, telegrafował do Kalinina: „Naród amerykański cieszy się ze zwycięstw waszych“.

Wobec takich faktów spodziewaliśmy się, że tak głośny champion katolicyzmu jakim jest p. prof. Halecki da nam prawdziwy obraz mobilizacji sił duchowych U.S.A. do walki z bezbożnictwem i komunizmem, wrogami Kościoła Katolickiego i ludzkości. Spotkał nas zawód. To co usłyszeliśmy, musimy uważać, jako próbę chloroformowania czujności publicznej według zwykłej metody naszych przeciwników.

Na odczycie zauważyliśmy wielu tych przeciwników. W pierwszym rzędzie np. siedział prezes „Rotary“, który naturalnie z zadowoleniem kiwał aprobująco głową. Oczywiście. Gdyby np. prezes „Rotary“, wygłaszał odczyt, nie wygłosiłby go lepiej. Oczywiście, hasłem Ameryki, jak to podkreślił prelegent jest „wolność, równość i demokracja“ naturalnie w interpretacji Frankfurterów, Baruchów i t. d. Stalin również głosi te same hasła. I prezydent Azana.

Rabi Neuman w liście do pewnego publicysty szwedzkiego w roku 1925 twierdził, że jesteśmy już spóźnieni o 50 lat i że nic nam nie pomoże. Mylił się. Dziś już żydom nic nie pomoże. Początkiem ich końca, wstępem do ich zlikwidowania jest ich demaskowanie.

(m.)

POKŁOSIE

KWESTIA UKRAIŃSKA

NIKT nie zaprzeczy, że kwestia ukraińska jest obok żydowskiej, kwestią dla Polski aktualnie najważniejszą. To nie tylko problem wewnętrzny, ale także część duża część problemu naszej polityki zagranicznej, kształtowania się naszego dziejowego procesu.

Zdawałoby się, że dwadzieścia lat istnienia odrodzonej państwowości winno wykształcić myśl polityczną na tym odcinku. Tymczasem zaś...

Spróbójmy zanotować koncepcje, jakie w sprawie ukraińskiej wysuwa współczesna nam literatura polityczna.

Pogląd pierwszy, obozu narodowego, da się streścić w zdaniu następującem: „Nie należy podkładać ognia pod własny dom poto, ażeby się odeń zajął dom sąsiada" — jak to sformułował kiedyś Dmowski. Jest to jednocześnie odpowiedź na pytanie, czy kwestię ukraińską traktujemy jako zagadnienie wewnętrzne, czy zewnętrzne. Trzeba tu w imię objektywnej analizy, o którą nam chodzi w tej chwili stwierdzić, iż pogląd ten ma ostrą swoją formę w Ziemi Czerwieńskiej, na Podolu i Wołyniu, to jest tam, gdzie obóz nasz znajduje się w ogniu bezpośredniej walki z nacjonalizmem ukraińskim, ostrze, natomiast, owej formy tępieje, gdy idziemy drogą ku Warszawie i na zachód, gdzie z rzadka nawet dochodzą echa tej walki. Warszawa zdradza w ostatnich czasach zbyt wielką ochotę do akademickich dyskusyj oraz do formowania w sposób dyletancki teorii. Razu pewnego, jeden z najwybitniejszych przywódców nacjonalizmu ukraińskiego powiedział do mnie z nieukrywanem zdziwieniem, że Polacy tak mało znają rozwój ruchu ukraińskiego... I miał rację. Tylko, czy to on winien zwracać nam na to uwagę?

Pogląd drugi reprezentuje zespół „Polityki" oraz zespół „Słowa" wileńskiego. Posiada on na swe usługi pióra tak utalentowane jak Aleksandra Bocheńskiego oraz Cata-Mackiewicza, a jest odbiciem dawnych koncepcyj federacyjnych marszałka Piłsudskiego. Zasadnicza linia: rozbić Rosję, utworzyć związaną ideą oraz interesem politycznym i gospodarczym niepodległą Ukrainę. Koncepcji tej przeciwstawia się obóz narodowy z trzech względów. Po pierwsze: Polska i niepodległa Ukraina będą miały więcej kwestyj wiążących, po drugie Europie potrzebny jest wał ochronny w postaci obcej jej, zresztą, Rosji przed naporem inwazji azjatyckiej po trzecie koncepcja budowy niepodleglej Ukrainy jest koncepcją Berlina. Na ten ostatni argument odpowiadają zwolennicy poglądu „Polityki" i „Słowa", że należy Trzecią Rzeszę uprzedzić. Powiedzmy, że zgoda, ale cała w tym tragedia, że Niemcy stanęły już na starcie, a nawet rozpoczęły wyścig, gdy my tymczasem... Ale o tym za chwilę.

Pogląd trzeci stempla najświeższego, to pogląd „fołksfrontu". „Fołksfront" znalazł się obecnie w pozycji arcytrudnej. Tradycjami oparty był o stanowisko takiego swego przedstawiciela, jak Leon Wasilewski, poglądami tkwi w liberalizmie i „samostanowieniu narodów o sobie", gdy tymczasem protektorem prawa do „samostanowienia o sobie" Ukrainy, jest antypatyczna dla nich „Hitleria". Dopóki były stresemanowskie Niemcy, a — to zupełnie co innego, ale Niemcy narodowo-socjalistyczne? Kłopot, prawdziwy kłopot. Jednak w murze, zdawałoby się nie do przebicia jest doktrynalny przesmyk, który mówi, że to tylko „reakcja" ukraińska sprzyja Berlinowi. Wprawdzie „reakcja" ta to „tylko" sfery oświecone, duchowieństwo („z wyjątkiem znikomej liczebnie grupy biskupa Chomyszyna"), młodzież i... lud, ale...

A więc — stanąć po stronie ukraińskiego „fołksfrontu". Odpowiemy: gdzie go szukać? — to raz, a drugie — co czynić, stanąwszy po tej jego stronie? Otóż tego nasz rodzimy „fołksfront" nie wie. Zupełnie. Bo niezadowolony jest z koncepcji Berlina idącej na Rosję i nie podobają mu się „szowinistyczne metody Jaremy Wiśniowieckiego" (patrz artykuł red. Niedziałkowskiego w „Robotniku"), nie jest też zadowolony z obdarzenia mandatami kilkunastu undowców z województw południowo-wschodnich i „... kilku petlurowców z wołyńskiego bajratu p. Józewskiego". Więc co? Właśnie, że nic. Bo poza słowem „normalizacja" rzuconym przez „fołksfront" nie stoi żaden program, żadna metoda, żadna treść.

Oto obraz poglądów na uregulowanie jednego z najważniejszych, fundamentalnych dla państwa problemów! Nie omówiliśmy jeszcze poglądu stojącego przy władzy obozu. Przystępujemy z kolei do tego ostatniego. Otóż obóz ten wmawia od kilkunastu miesięcy we wszystkich zasadniczy pogląd, że naród polski w najważniejszych kwestiach jest skonsolidowany. Chcielibyśmy szczerze, ażeby tak właśnie było, obraz jednak przed chwilą przez nas ukazany przeczy twierdzeniu *regime*'u. Przedstawiciel sfer rządzących odpowiada z kolei, że pogląd „fołksfrontu" nie jest poglądem polskim, a więc go nie należy brać pod uwagę. Zgoda — spróbujmy więc przyjrzeć się postawie obecnej polityki w stosunku do kwestii ukraińskiej.

Doniedawna na Wołyniu wojewoda Józewski, b. minister spraw wewnętrznych z okresu już pomajowego, a w sąsiednich województwach pacyfikacja. Wydawanie „Biuletynu polsko - ukraińskiego" a jednocześnie ruch szlachty zagrodowej. Dzielenie się z Ukraińcami mandatami do sejmu ze Lwowa, a jednocześnie nawoływanie lwowskich związków byłych kombatantów do walki o polskość Ziemi Czerwieńskiej. Wrześniowa i październikowa linia mimistra Becka a jednocześnie próba utworzenia wspólnej z Węgrami granicy, wkrótce zaś znowu poniechanie wysiłków idących w tym kierunku. Zawieszenie obecne „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego" z komendantami ultranacjonalistycznymi, jak np. „Czerwonej Róży", redaktor której jest publicystą „Gazety Polskiej" a przed tym, przed kilku laty, oficjalne głoszenie walki z nacjonalizmem polskim w Ziemi Czerwieńskiej.

Stwierdzamy — obóz rządzący stanowi mieszaninę wszystkich trzech poglądów wyłuszczonych w artykule niniejszym. Mieszaninę a nie syntezę. Ułatwia to niewątpliwie prowadzenie polityki „z dnia na dzień" chociażby przez lat kilkanaście, nie tworzy przecież procesu dziejowego, ani prądu, w orbicie wpływów którego znalazła by się znakomita większość Polaków, jeśli już nie wszyscy. A przecież w orbicie naszego dziejowego procesu winniśmy się znaleźć nie tylko my, Polacy. Tego wymaga polityka w wielkim stylu.

J. Ba.

Redakcja „Myśli Narodowej" zawiadamia poszukujących książki Z. Wasilewskiego p. t. „*Norwid*", że resztą nakładu tej książki rozporządza (z tytułu udzielonej zapomogi) Kasa im. Mianowskiego (Warszawa, Pałac Staszica). Tam należy się zwracać z zamówieniami. Egzemplarze, które były na składzie w wydawnictwie „Myśli Narodowej", są już wyczerpane.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.